

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y.M.C.A. we FRANCJI

ROK 2.

1-15 MAJA 1945.

NR. 8-9 (16-17).

W I T A M Y

Z dniem każdym na teren Francji napływają setki i tysiące Rodaków uwolnionych zwycięską ofensywą Aliantów — napływają z Niemiec z obozów jenieckich, deportowanych i koncentracyjnych. Witamy ich — wolnych już ludzi — otwartym sercem i ramionami, witamy radosnym błyskiem oczu i uściskiem dłoni. Napływają wrześniowcy, jeńcy z kampanii francuskiej, afrykańskiej, włoskiej i znowu francuskiej, napływają deportowani i aresztowani w

Kraju lub we Francji pod okupacją, krewni i bracia, znajomi i nieznajomi — jednakowo drodzy.

Opatrzności dziękujemy za łaskę zachowania ich dla powrotu i odbudowy, śląc korne modły o dalszą opiekę i o siłę dla służby Polsce. Im samym, na progu nowego życia życzymy szczęścia i tego samego hartu, który pozwolił im przetrwać najgorsze, co świat kiedykolwiek zaznał. Życzymy zgodnego powrotu do Dobrej i Wielkiej Polski, do ziemi, której — da Bóg — już nie rzucimy więcej.

Ks. H. Paruzel

RODZINA SIŁĄ NARODU

Ognisko domowe jest pierwszą komórką społeczności. To twierdzenie metaforyczne zdaje się może banalnym, ale w rzeczywistości przeciwstawia się atomicznemu pojęciu sprowadzającemu organizm narodu do bezżyciowego aglomeratu jednostek poddanych bezpośrednio Władzy Państwowej — tolerancyjnej do ekscesu w systemie liberalnym — a tyrańskiej, rozumie się, w reżimie despotycznym. To twierdzenie również o «Rodzinie zarodku społecznym» wykazuje, że między jednostkami a społecznością istnieje grupa pośrednia rodziną zwaną, obdarzona prawem do kontrolowania aktywności indywidualnej swych członków. Ze zbioru dopiero rodzin — a nie z rozproszkowanych jednostek, powstaje naród, którego wielkość zależeć będzie od siły i zdrowia rodzin.

Autorytet publiczny winien starannie czuwać nad zdrową konstytucją rodziny, nad poszanowaniem jej praw oraz nad niesieniem jej pomocy w spełnianiu jej misji. Prawo jednostek czy też interes społeczności nigdy nie powinien służyć za pretekst do naruszania integralności rodziny.

Wysuwana nieraz teza i zapożyczona z porządku biologicznego, utrzymująca, że komórka istnieje dla całości, że w organizmie żywym komórka nie ma życia różnego od całości, nie posiada celu w sobie — i jeżeli istnieje, to tylko dla dobra organizmu, w którym żyje — taka teza winna być absolutnie odrzucona, gdy chodzi o rodzinę. Żyje ona bowiem życiem swoistym, różnym od życia społeczności, w której się wciela.



Cz 31882/1945/8-9

1604 c/1976

Rodzina wyprzedza Państwo i cel pierwszy rodziny nie ułożam się z celem społeczności narodowej. Rodzina owszem jest komórką, ale autonomiczną i cieszy się prawami niezależnymi od państwowych. Od społeczności cywilnej, której podlega, domaga się pomocy i poparcia jedynie. Wogóle — między rodziną a Państwem istnieją specjalne więzy prawne, którym warto poświęcić naszą uwagę. Należy do nich między innymi pojęcie osobowości, od którego nam zacząć wypada. Osoba przecież jest ośrodkiem każdego porządku społecznego.

Człowiek jest czymś więcej niż jednostką. Jako zbyt rozumny, mający cel sobie właściwy, wytknięty przez Stwórcę, cieszy się człowiek osobowością polegającą na udzielnych prawach i stosunkach.

Nie znaczy to, aby w urzeczywistnianiu swych przeznaczeń człowiek był sobie wystarczający. Wszystkie byty na ziemi mają mu być środkiem do celu. Imperatywna potrzeba pomocy bliźniego czyni go bytem społecznym, do którego podporządkowane być mają społeczności: domowa i narodowa.

Osobowość ludzka zawdzięcza Rodzinie pierwsze kroki do wielkości. Atoli ta rodzina biorąca na siebie zadanie przekazywania życia, widzi się słabą w obliczu ogromnej odpowiedzialności. Stąd razem z innymi gotowa złączyć swe wysiłki w organizm większym — mianowicie w społeczności cywilnej, która w miarę możliwości uzupełnia to, co mu nie dostaje.

Społeczność narodowa jest powołana do asystowania rodzinom w wypełnianiu ich misji do stworzenia warunków sprzyjających osiągnięciu celów familijnych. Owszem i jednostek nie zaniedbuje społeczność. I ich prawa strzeże i ich inicjatywie ofiaruje pomoc. Lecz wszystko to stoi na planie drugim. W rzeczywistości kolejność stosunków ma się między narodem, rodziną i osobą w następującym porządku:

Społeczność odnosi się do rodzin i ich członków, rodzina do osobowości, człowiek zaś, centrum wszelkiej organizacji społecznej, skierowany jest do Boga, celu ostatecznego wszystkich rzeczy.

Porządku tego naruszać bezkarnie nie wolno! Wypływa bowiem z wymogów natury, a w ostatniej analizie z Woli Bożej.

Nadmienić należy, że każda społeczność mała, czy też wielka, osiągnie cel swój, do którego została przeznaczona tylko wysiłkiem zespolonych energii, roztropnie kierowanym. I tak rodzina nie odpowie swemu posłannictwu, jeżeli rodzice i dzieci, według wieku i zdolności, nie spełnią zadań wspólnych, żądających często ustępstw z uszczerbkiem interesów partykularnych.

Zadań rodzinnych Państwo nie może określać i ograniczać ani uzurpować sobie. Przeciwnie, ze swej strony Rządy winny ułatwiać wywiązywanie się z nich rodzinom, bronić je przed przemocą. Jednym słowem będzie na ich usługach. Gdyż tyle wart Naród, ile warta Rodzina.

Gdy naród w obronie własnych swych publicznych interesów żąda od jednostek i rodzin wkładu sił na powiększenie dobra wspólnego oraz poszanowania dla tego dobra z naruszeniem prywaty, wtedy mówimy, że rodzina stoi na usługach narodu. Lecz zapominać nie wolno, że ta subordynacja nie jest naczelną. Raczej wynika jako konsekwencja porządku odwróconego, stawiającego społeczeństwo i rodzinę na usługach osobowości ludzkiej.

Fundamentalną zasadą pozostanie fakt, że rodzina nie była założona dla społeczności jako środek do jakiegoś wyższego, wspólnego i ogólnego celu.

Rodzina istnieje dla dobra osób, które powołuje do życia, i jako taka, spełniając swoją misję, oddaje tym samym usługi narodowi. Naród jest tym, czym robią go rodziny i ludzie, z których jest utworzony jako ciało utworzone jest z członków.

Rodziny są pierwszym źródłem, z którego naród czerpie życie i trwanie swe wieczyste. Od ich bogactwa zawisła jego potęga i rozkwit. Rodziny bowiem dostarczają narodowi sił do wyzyskania skarbów ziemi, konsumentów produktów narodowej pracy, obrońców całości granic i przywódców promieniujących geniuszem narodowym nawet poza jego granice.

Już antyczni myśliciele jak Ciceron nazywali rodzinę ochronką i seminarium Rzeczypospolitej. Prawo Rzymskie dowodzi, jaką czcią otaczano tę instytucję. Gdy będzie zagrażał Rzymowi upadek, wtedy prawodawcy cesarscy skierują wzrok społeczeństwa na grzech marnowania żywotności narodowej. Lecz będzie już za późno. Wysiłki mężów stanu nie przemogą zepsutego egoizmu społeczności. Ruina potężnego Rzymu pokaże dziejom, jak bardzo zależy moc narodu od czystości obyczajów małżeńskich i żywotności instytucji rodzinnej.

Moralisci chrześcijańscy widzą także w biblijnym nakazie Stwórcy «Roście i rozmnażajcie się a napelniajcie ziemię» — prawdziwe dobro społeczności ludzkich.

Jeżeli doktorzy teologii wieków średnich dają pierwszeństwo celibatowi przed życiem małżeńskim, nie znaczy to, aby nie uznawali, że rodzina winna sprzyjać temu, co jest siłą narodów. Dopiero Malthus przyczyni się do przewrotu tych zasad tak zwany «aksjomatem przeludnienia». Według niego ludzkość pomnaża się ponad możliwości życiowe naszej planety. Aby więc przeszkodzić temu niebezpieczeństwu, Malthus domaga się od narodu rozwiązań socjalistycznych, nakazujących państwu troskę regulowania prądem życia, lecz apeluje do sumienia obywateli odpowiedzialnych wobec społeczności. Zaprasza ludzi dobrej woli do panowania nad popędami instynktu, tak zwaną «wstrzeźliwością moralną».

Na tym punkcie uczniowie Malthusa nie poszli za mistrzem i zastąpili jego wstrzeźliwość wyrachowanym egoizmem nie znośnym cugli, idącym za pasją niszego rządu.

Dziś przeludnienie nie grozi światu, lecz przeciwnie — upadek urodzin i wynarodowienie. Rządy wszystkich państw sprzyjają doktrynom popierającym zaludnienie. Liczne rodziny odznaczają się nagrodami. Opieka nad dzieckiem stała się na pierwszym miejscu w każdym programie politycznym. Tylko masy niewolniczo oddane egoizmowi wahają się przed przyjęciem ciężkich obowiązków, które zakłada liczna rodzina. Mężowie stanu natomiast odpowiedzialni za losy swych narodów dawno już zdali sobie sprawę z nieoszacowanych skarbów, które przynosi narodowi żywotna rodzina. prowadzą politykę rodzinną, modną dziś w państwach dążących do tak zwanego «Nowego porządku».

Nie zapominajmy jednak, że nie o ilość dzieci i o liczbę rodzin chodzi narodom. Jakość rodzin specjalnie dziś bierze się pod uwagę. Naród liczebnie potężny a bez duszy — motłochem jest i «szkieletem ludów».

Duszą, która sprawia, że naród jest tym czym jest — to tożsamość myśli i woli, sprawająca, że mimo różnorodności temperamentów i charakterów, mimo różnych klas i godności w państwie, panuje między członkami społeczeństwa komunizm tego samego ideału. Otóż ten potężny czynnik jedności, cementujący naród, czerpie społeczeństwo ze zdrowych liczących rodzin, w któ-

rych, w atmosferze serdeczności formuje się dusza wszystkich pokoleń.

Rodzina jest opatrnościową szkołą wychowania i żadna inna instytucja w tej roli jej nie zastąpi. Życie może tylko w rodzinie do pełnego dochodzić rozkwitu, bo tylko w niej znajduje ono miłość nierozdzielną, trwałą, wzajemną i pełną ofiarności. Naród przekazuje w Świątyni Ogniska Domowego na potomnych tradycje swej wielkości, a lekcje swych dziejów daje na łonie rodzicielskim. W miniaturowym «państwie-rodzinie», dziecko uczy się cnót narodowych i obywatelskich. Tu uczy się szanowania władzy, tu staje się dobrym podwładnym. Indywidualizm dziecka otrzymuje dobry kierunek w dyscyplinie domowej, której dobrodziejstwa wykazuje później przyszłość. Co więcej, rodzinne życie daje dziecku świadomość odpowiedzialności społecznej, gotowość ponoszenia ofiar i ustępowania na rzecz dobra wspólnego».

Rodzina w całym tego słowa znaczeniu przygotowuje człowieka do zadań społecznych.

Nowatorzy marzą o tym, aby autorytet publiczny za-

jął się formacją obywatelską i społeczną młodzieży. Wierzą naiwnie, że wychowanie kolektywne, zmonopolizowane, wytworzy w narodzie jednolitą wspólnotę poglądów i chęci zmierzających do bardziej harmonijnej pracy dla dobra ogółu.

Co za pożałowania godna utopia!

Funkcjonariusze, wychowawcy państwowi nigdy rodziców nie zastąpią!! Mandat władzy cywilnej nie może im dać łaski stanu do świętego sprawowania wielkiej misji wychowania. Wychowanie, które daliby ci nauczyciele dzieciom, byłoby formowaniem «pędu owczego» i mózgu, nakłanianiem woli do wymagań dyscypliny zewnętrznej oraz nakładaniem szablonu na młodociane serca. Taka mechaniczna tresura zabiłaby bezwzględnie w młodych duszach spontaniczność i oryginalność czynu wolnego, będącego ozdobą charakterów rozwijanych harmonijnie w klimacie rodzinnym.

Historia dowodzi, że te narody są wielkie, które w czci mają prawa naturalne rodziny i dopomagają im do kształtowania osobowości wolnej w czynie dobrym — największego kapitału każdej szanującej się społeczności.

Kenneth Smith we Francji

Na terenie Francji bawi ostatnio p. Kenneth Smith, najbliższy współpracownik Pawła Supera i jego specjalny wysłannik dla spraw Polskiej YMCA w Europie, i na Bliskim Wschodzie.

Wizyta jego napewno zostanie długo w pamięci wszystkim Pracownikom Polskiej YMCA, którzy mieli okazję

zestąpienia się z nim osobiście — dzięki jego naprawdę amerykańskiemu, dżentelmeńskiemu traktowaniu spraw i ludzi.

Ostatnio p. Smith zwiedził nowozałożone Ogniska Polskiej YMCA na terenie Wschodniej Francji, gdzie miał możliwość zapoznać się z pracą naszej instytucji.

LEOPOLD STAFF

Miałeś ty ludu polski...

Miałeś ty, ludu polski, zawsze opiekunów,
Co ganiąc się, że w izbie mieszkasz wraz z chudobą,
Dbali, abys nie porósł w brud i mech kołtunów
I nawet wyręczyli cię w rządzeniu sobą.

Takież ci to, wbrew tobie, stworzyli wygody
I zaprzętać ci niczem nie dali się inszem,
Jeno byś zadowolony był, jak twoje trzody
I za bezczynność płacił bezsilności czynszem.

Dziś znów skądś zjechali się w gości, by w twym domu
Zaprowadzić ład, który do łask dawnych dodasz,
Jeno ty nie wiesz, czy masz dziękować i komu,
Bo nie ma się u siebie gdzie podziąć gospodarz.

Świadczą ci swe najlepsze chęci wśród łask kroci,
uścisli obiecują, jeno że zbyt ciasno,
Przebaczają ci nawet w swej wielkiej dobroci,
Że zdołałeś oddychać dotąd piersią własną.

Troszczą się o cię, radzą o tobie, bez ciebie,
Tak, że ty, lud karmiący, ty, chleba mnożyciel,
Na własnej roli żyjesz o łaskawym chlebie,
Nowy, w chudej nagości poszczący, Jan Chrzciciel.

Zaprawdę! Jak on chadzasz z twardym krzyżem znakiem
I ochrzciłeś swą ziemię własnej krwi Jordanem,

Ziemię, co jest dziś cała Gorejącym Krzakiem,
W którym się duch twój zjawić chce swym własnym Panem.

A wśród niejednych rządców kędyż masz Ojczyznę,
Gdy twymi nie są własne, wszem otwarte wrota?
Skurczyła się dziś cała w twego serca bliźnę,
Lecz jest wielką, jak dusza twa i twa tęsknota.

O, ziemio, pozbawiona siewców i oraczy,
Wtrącona w nędzę ruin, sieroctwa, wdowieństwa!
Chociaż wdziałeś żalobę, lecz nie znasz rozpaczey,
Jeno hart cierpliwego i ufego męstwa.

Ojczyzno, nawiedzona ogniem i żelazem,
Pośród zgorzeli czarnych, tego mąk ogrojca,
Jesteś tym cudnym młodej kobiety obrazem,
Co w czas głodu swą piersią karmi starca-ojca!

O próg zweglony opierasz głowę obolałą.
I na ból głogostawisz swoich synów plemię.
Lecz choć ci wszystko wzięto, wszystko ci zostało,
Gdy nad sobą masz Niebo, a pod stopą Ziemię!

O, ludu polski! Zbawi cię największa święta!
Podniesie cię z padole twojej głębokiej troski
Ziemia twoja, brązowa i mieczem pocięta,
Jak oblicze Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Zakładamy nowe ogniska

(reportaż z objazdu ekipy Polskiej Y.M.C.A. po Wschodniej Francji)

Wyjeżdżamy z Paryża po obiedzie. Jest ładna pogoda. Paryż coraz bardziej się przersedza, coraz luźniej i swobodniej oczom, wreszcie my, mieszczuchy, co to w Paryżu gonią po metrach i tak się śpieszą, że nie mają czasu podnieść oczu na zie-eń, drzew na skwerach — widzimy, że wiosna już oddawna jest wszędzie. Kasztany są pysznie zielone, rzepak jest duży, wszystko nas dziwi. I ptaki i słońce — wszystko inaczej niż w Paryżu. Jabłonie kwitną, a lasy granatowieją i snują się daleko na widnokręgu pastelowymi smugami.

Jest nas sześciu. Prezes, dwóch Jasiów, Władek, Karol i ja. O nazwiska mniejsza. Jeden Jasio jest inżynierem i jedzie z tyłu w ciężarówce z Karolem, który czasem odejmuje ręce od kierownicy, by gestami pokazać, jak dobrze się je w «Pugu». Pougues leży koło Nevers i Karol je zna ze swych raidów Lyon-Paryż. Je się tam nadzwyczajnie, więc nie dziwnego, że Karol, który raz lekko «opchnął» siedem obiadów, wspomina o tym z rozrzwinięciem. Szczupły inżynier słucha go z zacięciem, mimo że sam zna też Pougues, bo jadał tam nieraz właśnie z Karolem. Czasem tylko wyciąga papierosa i czestuje Karola.

Nas czterech jedzie w czarnej 'imuzynie. Prezes siedzi koło Jasia, my dwaj z Władkiem z tyłu. Co chwilę oglądamy się, czy ciężarówka jedzie za nami, bo wyładowana niemożliwie dekoracjami, radiami, rękawicami bokserskimi i piłkami nożnymi, do koszykówki i siatkówki, grami, szachami, warcabami, różnym sprzętem świetlicowym, książkami, gazetami, papierosami i t. d. — i wreszcie benzyną, bo zrobimy ponad 2000 km. Wziemiemy ze sobą nawet rower i maszynę do pisania, bo w drodze wszystko się przyda.

Miamy zamek w Fontainebleau. Po drodze mijamy jeszcze przedtem długą kolumnę ambulansów Francuskiego Czerwonego Krzyża. Wygląda to nam na jakiś wypadek. Muszki wpadają przez otwartą szybę. Trochę nam senno i podaję Jasiowi papierosa. Robimy postój, bo Karola długo nie widać. Jest rozmarzające słońce, a z pośród zeszłorocznych zeschłych liści przebiła bujna nowa trawa. Siadamy w rowie. Wkrótce otrzepujemy mundury, bo Karol jedzie. Zawsze defekty wypadają mu szczęśliwie w pobliżu kafejek, z czego obaj są zadowoleni, a Karol machając olbrzymią ręką mówi: — Wiesz pan jak jest, panie Andrzeju, nie?

Po drodze jest piękny krajobraz. Nieraz to zupełnie człowieka zatyka: Polska. Tak podobne. Potem dalej no kredowych wąwozach i wertepach przemykają się białe akwadukty.

Wieczorem dojeżdżamy do Troves. Karol ma «panę» (po polsku mówiąc — defekt). My jedziemy na rozpoznanie do miasta. Po kilku zabawnych qui pro quo znajdujemy przewodnika w osobie rezolutnej p. Irki, która nas pilotuje gdzie trzeba. Koło rozwalonego bombami kościoła stoją armaty przeciwlotnicze, nawpół spa-one, a wokół nich gonią rozweselone dzieciaki. Przez wybite witraże wygląda pusta naw, które straciły całą konstrukcję gotyckich łuków i sklepień.

Gdy niezdecydowani kręcimy się po jakimś placu, podchodzi do nas patrol amerykańskiej M. P. i jeden

z żandarmów pyta się po polsku: Czego szukacie? Polaków wszędzie pełno. Nigdzie ich nie brak.

TROYES.

Troyes jest dość dużym miastem. Słynie z fabrykacji pończoch i wytwórni konfekcji. Kolonia polska jest tu liczna, bo sięga ponad 1000 głów. Na terenie zaś departamentu (Aube) jest jeszcze ponad 7000 Polaków. W mieście pracują Polacy przeważnie we fabrykach konfekcji, lub jako drobni rękodzielnicy czy przedsiębiorcy — na wsi przeważnie na roli.

Życie po skie pulsowało tu żywo przed wojną. W domu p. K. oglądam albumy zdjęć z różnych obchodów, balów, uroczystości i t. d. Istniało tu Towarzystwo Piłsudczyków (najstarsze — od 1922 r.), Z.P.O.K., Strzelec, orkiestra «Jedność», T.U.R., Harcerstwo męskie i żeńskie i t. d. Sekcja Teatralna Piłsudczyków była niezwykle czynna i za «Łobzowian» wzięła pierwszą nagrodę konsulatu. Ostatnio w czasie okupacji pracowała tylko P.O.W.N., licząca tu 52 członków.

Dawną świetlicę zniszczyła powódź i opuszczenie. Stało tam parę gratów, wisiało dużo pajęczyn i zatęchłe powietrze. Zabraliśmy się żywo do roboty. Karol szczotką zmywał pajęczyny, Prezes chlebem wycierał przegniłą trochę mapę. Wszyscy robili, nawet markierant Władzio. Miejscowi rodacy pomagają nam bardzo wydatnie. Będzie to już wszędzie. Nieraz poprostu odgadują myśl, co się chce zrobić.

Najwięcej roboty ma inżynier i Jasio Nr. 2. Pierwszy robi wogóle szkic dekoracji i odwała najczarniejszą robotę, a Jasio przeprowadza instalacje elektryczne. Zresztą zdjęcia pokażą to Czytelnikowi. Przyjechaliśmy do Troyes w piątek wieczorem. W sobotę rano zaczęliśmy świetlicę czyścić, a roboty było dużo. Od południa zaczęła się dekoracja — a świetlica gotowa była dopiero w niedzielę nad ranem. Rano jeszcze kwiaty i zdjęcia i w południe jedziemy do Chaumont, żegnając przemiłych i nadzwyczaj gościnnych państwa K.

CHAUMONT.

Droga do Chaumont jest piękna. Wogóle wszędzie na wschodzie Francji jest ładnie: tyle lesistych wzgórz, gdzie świerki i sosny coraz częściej się pojawiające upodabniają krajobraz do polskiego. Jedziemy przez Bar-sur-Aube.

Chaumont jest największym skupiskiem deportowanych w tej okolicy. W olbrzymich koszarach mieszka ponad 2000 ludzi. Są to przeważnie wywiezieni przez Niemców z Łódzkiego, Kaliskiego i Sieradzkiego. Często są z okolic Warszawy, a czasem to nawet Lwów czy Podole się zaplata. Jest niedziela, więc wszystko jest czyste, spokojne — wogóle odświętne. Nie trzeba się pytać, by wiedzieć, że to Polacy: polskie twarze, często z sumiastym wąsem, polskie babinki w chustkach i olbrzymich spódnicach i polskie niebieskokookie dzieciaki. Jak na wsi w Po-sce — gdyby nie to, że nie można nie zauważyć francuskich koszar. Powiedzmy szczerze — są tu dość częste kradzieże. W istniejącej już tu świetlicy YMCA musiano kałamarze przymoco-

wad do stołu — jeśli wogóle miały służyć całemu skupisku. Za książki wypożyczane z łmki trzeba brać duże kaucje. Gazety w świetlicy giną jak kamfora — jednak nie jest to wcale popularność czytelnictwa. Trzeba te rzeczy rozumieć bardzo prozaicznie.

Inżynier dochodzi do wniosku, że trzeba inaczej urządzić istniejącą już świetlicę. Sala odbrzmia — więc roboty nie mało. Pomagają nam chłopcy, którzy pracują u Amerykanów, za co dostali mundury amerykańskie. Chodzą w nich dumni i elegancy, przyczepili sobie biało-czerwone kokardki i z pewną wywyższością odnoszą się do innych, co są w cywilu i gorzej odziani. Dziś jest niedziela, więc wszyscy są odświeżniejsi i różnic nie widać, bo każdy przecież Polak w niedzielę wsadzi na grzbiet co ma najlepszego. W jednej z izb widzę dziewczynkę, która płacze, bo ubrała się w świąteczną sukienkę a nie ma co na nogi włożyć, więc płacze, oglądając swe boso nogi — płacze bo do kościoła nie mogła pójść.

W obozie dokonano kradzieży. Z magazynów żywnościowych i ubraniowych coś zabrano, wyważywszy uprzednio drzwi. Gdy zarządcono rewizję (bo jest i policja obozowa, a jakże!) oburzali się wszyscy, że to nieprawda, że komenda sama kradnie — a na «bidny naród» zwała podejrzenie i t. d. Znaleźli się przygodni mówcy w cholewach, lub mówcy w chustkach i poważnie, godnie, a potem coraz bardziej zapalczywie udowadniali słuchaczom, że to nie tak było a tak i t. d. Gdy jednak policja znalazła skradzione rzeczy — wszystko się uciszyło, jakby nie było, jakby nikt nic nie mówił — i każdy przygodny mówca skreśliwszy z wyszperanych skądś resztek tytoniu papierosa, zapalał go i spokojnie, z namaszczeniem szedł do innej grupy, co to rozprawiała o Polsce, jak co było w Polsce, a jak tu, czy w Niemczech.

Już przy drugiej świetlicy okazało się, że mechanizuje się czynności, że każdy ma wykonać pewną sumę takiej a takiej pracy, że do niej zabiera się już bez gadania i radzenia. Świetlica tu została ładnie zrobiona, mimo że dość na kolanie.

Wieczorem robimy kominek. Nie jest to żadna impreza artystyczna, ale wyłapujemy miejscowych artystów i na poczekaniu montujemy coś w rodzaju rewii. Mimo że bez próby — udaje się dobrze i podoba się ludziom. Wspólne śpiewy nawiązują odrazu łączność ze sobą. Jest miło. Okazuje się, że gdy się ma trochę dobrej woli i zapału, można własnymi siłami zrobić w Ognisku dobrą imprezę. Gdy się nad tym trochę dłużej popracuje niż my w Chaumont — można mieć dobry teatr w świetlicy.

JOINVILLE

We wtorek rano jedziemy do Joinville. Jest tam stacja Zborna W. P. Ognisko YMCA już istnieje, ale trzeba je przeorganizować. Miło mi jest na ścianie zobaczyć wycięte z «Razem» i podkolorowane reprodukcje tańców ludowych Strzyeńskiej.

Prezes z Władziem i Karolem jadą osobówką do Bar-le-Duc, Verdun i Charleville, by się zorientować, gdzie będzie trzeba coś założyć. Nas trzech zostaje z ciężarówką, by dekorować świetlicę. Sprzedajemy papierosy. Jest tu transport 357 żołnierzy z A. K. i deportowanych, w tym 9 kobiet, oficerów i żołnierzy z A. K. Trzymają się wszyscy świetnie. Rozmawiam z nimi dużo. Humor i wiara w powrót i zwycięstwo prawdziwej sprawiedliwości — nadzwyczajne. Solidarność duża — co na ogół wśród deportowanych nie jest częste. Dekorujemy świetlicę popołudniu, chłopcy nam pomagają, a wieczorem znowu organizujemy ognisko, na dziedzińcu kosza-

rowym, tak po harcersku. Jest tu moc warszawiaków, cwanych i oblatanych gości — i robimy pierwszorzędnego kominek. Humor warszawski, kawały, wierszyki i dobry harmonista (mało dobry — pierwszorzędny) ze skrzypkiem, parę piosenek lwowskich i kawałów, wszyscy śpiewają razem i t. d.

I znowu to, co już zauważyliśmy w Chaumont. Gdy na zakończenie wszyscy śpiewają: «Nie rzucim ziemi», — gdy padają słowa: «Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz» — wszystkie oczy się zwracają nienawiścią i gniewem, a płuca z mocą wyrzucają te słowa ślubowania, że nigdy już się to nie powtórzy, że już nigdy nie rzucimy tej ziemi, za którą nam teraz tak tęskno.

* * *

We środę rano wyjeżdżamy do Bar-le-Duc. Droga jest spokojna i cudne słońce. Nieprzyjemne są tylko defekty. Oczywiście po drodze co drugi Amerykanin napotkany — to Polak. W Bar-le-Duc w konsulacie łapiemy ślad po reszcie naszej ekipy i mamy jechać do Verdun. Wóz odajemy do reparacji, Jasio przy nim grzebie, a my z inżynierem idziemy na miasto, bo wciąż trzeba korzystać z okazji i kupić gwoździ, tam żarówek, gdzieindziej znów czego innego, co jest potrzebne do urządzenia świetlicy. Rozmawiamy z garażystą. Wyraża się o Polakach bardzo dobrze — zna kilka rodzin, a nawet u jego krewnych pracuje ich paru. Mówi, że dobrzy pracownicy i bardzo uczciwi. Narzeka, że Francja jest zniszczona i zubożała, ale wie, że u nas to jeszcze gorzej. Po kolacji wyjeżdżamy piękną księżycową nocą do Verdun, dokąd przyjeżdżamy aż o 3 rano — dzięki znowu dwóm defektom. Cudem znajdujemy hotel (bo do delegatury P.C.K. o tej porze nie możemy się dowzwoić). Rano znowu wóz do reparacji (ach, te opony!)

Stojąc na ulicy zostałem zaczepiony przez jakiegoś Amerykanina, który przechodząc mówi mi:

— Jak się masz?

— A dobrze. Ty Polak?

• — Nie, ja Finn.

— Finn i po polsku mówisz?

— A tak trochę po polsku. Rosyjski znam dobrze. Bo wiesz, ja się w Polsce kochałem. Rozumiesz? — i się śmieje.

Czestujemy się papierosami i żegnamy.

Verdun trochę mnie rozczarowało. Znam je z mają 40 roku, gdzie jako żołnierz byłem — i nic nie odnajduję dawnych wzruszeń. Gdy nie ma grozy i piękna wojny — każde miasto jednakowe. Wtedy olbrzymie cmentarze, ich daleka perspektywa krzyży mówiła mi więcej — dziś, gdy nie myślę już tak o śmierci jak wtedy — krzyże mówią mi mniej. Zwiedzam cmentarze, ale nie odbieram dawnych wrażeń.

Na ulicach spotykam Polaków. W hotelu obsługa polska. Żona właściciela też Polka, ale wstydzi się przyznawać do tego i zabrania dziewczynkom mówić po polsku. Są i tacy.

Wieczorem łapie nas Władek, który przyjechał po nas jakąś okazją i jedziemy w deszczu, takim mglistym i mżącym do Brioules.

BRIEULLES

W Brioules w starym klasztorze, niezamieszkałym od Rewolucji, gdy wypędzono stąd zakonników, mieści się schronisko P.C.K. dla starców. Są to deportowani z Polski. I tacy ludzie byli niebezpieczni dla Niemiec: chorzy, sparaliżowani, starcy, zniszczeni i zdzieciniali. Tu dopiero przekonaliśmy się, że P.C.K. robi naprawdę dobrą robotę. Ludzie ci znaleźli tu przytułek i

naprawdę dobre jedzenie, co jest dziś bardzo ważne.

Tak sobie myślę o starym klasztorze, który pamięta cystersów, ich wygnanie, lata pustki, pobyt żołnierzy niemieckich w 1871, 1914-1918 i ostatnio. Czasem na manewrach mieszkali tu Francuzi — dziś w murach swych gości klasztor przybyłych z daleka Polaków: zdziwionych częstokroć starców i stare dzieci, które nie mają już uśmiechu. Raz w szopie, gdzie garażowały wozy rozmawiam z dziećmi. Mówią po polsku, ale już chętniej mówią po francusku, bo tak w szkole mówią i uczą się i w tym języku bawią się z rówieśnikami ze wsi.

— A nas to cztery razy wysiedlali. Przyszły w nocy Niemce i za pięć minut kazali wychodzić. O jak bili, jak bili.

— A ja nawet widziałem jak mego znajomego zastrzelili — mówi z dumą i ze strachem inny.

Za klasztorem stały jeszcze baraki, gdzie też mieszkaly rodziny polskie — jakieś baraki po Hiszpanach, czy po kimś. W jednym z nich staruszek, przeraźliwie wychudły, na małej przyczepie śpi z wnuczką, co mimo 11 lat nie mówi, niebardzo chodzi, a tylko pluje na każdego, co się zbliża. Rodzice zostawili go dziadkowi a sami dokądś poszli za pracę.

W nocy robimy świetlicę. Ludzie cieszą się radiem i obrazem Matki Boskiej i babulinki mówią, że tam będą sobie majowe nabożeństwa odprawiać. Starzy i zniedołężniały ludzie pomagają nam ze wzruszającym odgadywaniem myśli i zamierzeń. Są jeszcze tak wystraszeni po latach w Niemczech, że nie śmia prosić, ani się upomnieć, a gdy raz kierownik schroniska przelotem popatrzył na jednego co dobrowolnie nam pomagał i właśnie odpoczywał, bo męczył się starowina, w tej chwili wziął się do roboty. W piątek popołudniu sprzedajemy tam papierosy i biszkopty i wyjeżdżamy do Charleville. Po drodze zwiedzamy olbrzymi amerykański cmentarz żołnierski z tamtej wojny, gdzie leży 10.000 ludzi. W olbrzymim i pięknym parku stoi 10.000 marmurowych krzyży w nienagannej symetrii i perspektywie. Co chwilę, przechodząc widzi się nazwiska polskie: Ciborowski, Kropidłowski, Knapik i t. d. Czasem trafi się gwiazda Syonu zamiast krzyża. Deszcz przestał padać i było świeżo, już się robił wieczór. Często widać było świeżo skopaną ziemię, lub drobną trawę — ekshumowali zwłoki swych ojców, braci, wujów ci, którzy teraz, jak tamci wtedy, przyszli pomagać uciśnionym.

CHARLEVILLE

Charleville jest ładne. Dość dużo zieleni i czysto. W okolicy tej będziemy grasować cztery dni, bo zakładamy trzy ogniska: we Flize, Eclly i Camp de Varidon. W P.C.K. są przemili i gościnni i ułatwiają nam dużo rzeczy.

Eclly leży koło Rethel. Jest to wioska gdzie mieszkają Polacy, osadzeni tu przez Niemców, a przewiezieni z Polski. Pracowali tu w organizacji niemieckiej W.O.L. (odpowiednik Todt'a) i stanowią przeszło 50% miejscowej ludności. Wzajemne współzycie jest niezłe, co jest tym ważniejsze i ciekawsze, że pamiętać należy o zrozumiałym uprzedzeniu Francuzów do tych «etranżerów» ściągniętych tu przez «boche'ów».

We Flize jest obóz jeńców niemieckich i magazyny. I jednych i drugich pilnują Polacy, zwerbowani do służby wartowniczej przez Amerykanów. Chłopców naszych jest tu ponad 200, a na nasze odjeżdżne przybyło znów dosyć. Już przy wjeździe do wsi wita nas Polak z napisem na hełmie: «guard» i wskazuje dro-

gę do zamku. Przyjazdem Imki wszyscy się cieszą. Warunki materialne mają tu świetne: jedzenia i palenia aż za dużo czysto, forsy dość i niezwykle przychylne ustosunkowanie się porucznika amerykańskiego, który wymaga dużo i służbista jest tęgi, ale dba o nich. Chłopcy cieszą się jak dzieci radiem, piłkami i sprzętem do boksu — wszystkim. Przyjmują nas serdecznie i zarzucają papierosami. Jakiś facet, co przyszedł trochę później i trochę wstawiony, zaczął robić zbiórkę na Imkę, P.C.K. lub na co bądź, byle się jakoś tylko wywdzięczyć. Najwięcej chyba radiem i świetlicą cieszył się amerykański porucznik.

W mig zabrali się wszyscy do roboty, spędzono jeńców niemieckich, którzy czyścili ściany, sufit zabijali deskami i papą wybite i zdemolowane drzwi i okna. Już dziennika z Londynu wysłuchali wszyscy w świetlicy. Znalazł się i dyrygent co zaraz chór poprowadził. Późno w nocy skończyliśmy świetlicę. Na nocleg wracamy do Charleville. Świetlica tu jest jedną z najmiłszych, ze zorganizowanych w tym objeździe.

Nazajutrz w niedzielę przedpołudniem jedziemy do Eclly. Urządzenie idzie szybko, bo już o piątej popołudniu świetlica jest gotowa. Ludzie walą się zewsząd, bo już się zwiedzieli o nas z tej i ze sąsiednich wiosek. Wieczorem robimy zabawę. Taki wiejski skrzypek z bębniem i doboszem przychodzi i odrazu wycinają kujawiaki i oberki. Młodzi wolą nowoczesne tańce, ale jeden starszy gospodarz dopiero młodym pokazał jak się oberka tańczy. Od czasu do czasu wszyscy coś pospiewają, dzieci pod przewodnictwem miłej i pracowitej nauczycielki popisują się śpiewami, Władek powiedział parę słów o Imce — co robi, a czym się nie zajmuje, skąd się wzięła i jakie ma zadanie. Dzieci za śpiewy dostają po paczce biszkoptów, a starszym sprzedajemy po paczce papierosów. Jeszcze w świetlicy tańczą, gdy odjeżdżamy do Charleville. Jesteśmy zmęczeni i robi się zimno. Wogóle ostatnio pogoda nam nie dopisuje. Taki prawdziwy kwiecień-plecień co przepłata torche zimy, trochę lata. Maj już się zaczął i jak przeplótł zimą to taki śnieg walił, że wycieraczka stanęła Jasiowi i musieliśmy stanąć, bo nic nie było widać. Wokół biało.

CAMP DE VARIDON

Camp de Varidon leży o 3 km. od Charleville. Jest to obóz dla deportowanych z Alzacji i Lotaryngii i ostatnio dla przywożonych z Niemiec. Czasem trafiają się tam i jeńcy. Ludzi jest dużo. Mieszkają w budynku po jakimś seminarium duchownym, inni w nieopodal stojących domkach.

Zimno jest przenikliwie i błoto ohydne wciska się wszędzie. Dzieciska obdarte i często na bosaka bawią się na dziedzińcu lub w hall'u. Pociągają nosami i bawią się jakimiś szmacianymi lalkami. W małej sałce mieści się szkoła. Jest tu piecyk, więc aż przyjemnie tu posiedzieć. Dzieci się uczą pilnie. Zagadnienie dzieci i młodzieży jest wogóle problemem, który krzyczy o pomoc: istnieją szesnasto- i siedemnastoletni analfabeci. Ci — naogół — uczą się pilnie, bo im wstyd, że nie umieją ani czytać, ani pisać. Nauczycielka była «tylko» siedem razy wywożona. Jest schorowana, a dziś jeszcze zimno — więc widać, że wszystkiego jej się odchodzi. Ale uczy. Obserwuję z przyjemnością jej pracę i spokój.

Świetlicę urządzamy w zanieczyszczonej i opuszczonej kaplicy. Gdyśmy przyszli — brud i bałagan nie do opisania. W jakichś starych materacach, co to po Niemcach zostały jeszcze, mieszkają dwa psy. Gdyśmy wchodzili rzucili się na nas ze szczekaniem, a potem ze-

mknęły. Robota tu idzie ciężko. Pomaga nam dużo osób, ale lokal olbrzymi, zimno trzęsie nami (pożyczony w P.C.K. w Charleville swetry niewiele ratują sytuację). Dopiero we wtorek kończymy świetlicę. Jest naprawdę piękna i duża. Taka, jakiej tu właśnie trzeba. Ludzie poprostu nie mają u siebie gdzie usiąść, nie mają gdzie listu napisać, gdzie pobyt trochę bez plotek, bez polityki i bez zmartwień. Mimo zmęczenia i chronicznego niewyspania — jesteśmy w pełni zadowoleni. Wysiłek się opłaca: świetlica jest piękna. Czytelnikowi może się wydawać, że nie ma nic łatwiejszego niż urządzenie świetlicy, szczególnie, gdy przywozi się gotowe dekoracje. Jest to duży błąd — samo dekorowanie (a uprzednio czyszczenie) nie jest takie męczące, a'e jest dosyć monotonne. To nuży. Literę, które wycinam (hasła Imki, slogany, napisy na ścianach i tablice ogłoszeń) już mi się śnią po nocach. Wciąż to samo. Nawet sprzedaż papierosów. W Champ de Vaudon złamał Karol rękę — zapuszczając maszynę został odrzucony przez korbę złośliwego Citroena. Jedzie do Paryża, wraz z Prezesem, wezwanym do Paryża w sprawach Imki. Mamy się spotkać za trzy dni w Toul.

SEDAN

Dosyć specjalne w historii Francji to miasto leży niedaleko od Charleville, jakieś 18 km. Sedan jest dosyć zniszczony. Jest tu nawet dość dużo starej emigracji, tu i w okolicach. Lokal, który ma być nazajutrz świetlicą, jest niemożliwie brudny. Jest w nim szkoła. Mimo dużej dozy wyobraźni nie umiem sobie uzmysłwić tej całej nauki w tak zapuszczonym lokalu. Nauczyciel młody i sympatyczny gość, który niedawno tu przyjechał dopiero i mieszka w pobliskiej wsi — pomaga nam poprostu niesamowicie. P. Sz. mimo inwalidztwa pomaga nam. Chmury kurzu unoszą się w sali. Jednak pod warstwą kilkuletniego kurzu jest biały gips. Władzio z inżynierem wyglądają jak piekarze, albo duchy.

Na drugi dzień dekoracja. Wszędzie prawie są jednakowe ściany — twarde. że gwoździe nie chcą w nie iść. Tu to samo. Kombinacja inżyniera, ujęcia płaszczyzn ścian w kratki z listew, tu dosyć ciężko znajduje swe zastosowanie. Miejscowi od czasu do czasu zagadają, słuchamy radia, przylazł nawet jakiś powracający z niewoli i pyta się, jak tam będzie z tą całą polityką. Cholera — kto tam coś wie.

Po kolacji wracamy i kończymy drobiazgi: ustawienie stołów, kwiatów, zdjęcie — i piszę im kredą na szkolnej tablicy: Szczęść Boże w świetlicy.



W nocy o 11 wyjeżdżamy do Hayange koło Thionville. Noc jest ładna. Znam już tu trochę okolice z 1940 r. i w ładnej księżycowej nocy łatwo jest tu odnaleźć nastroj frontu, co wciąż łyskał czerwienią salw armatnich i pożarów. Władzio jedzie z inżynierem w ciężarówce, który ją prowadzi po Karolu. Jadę z Jasiem w osobówce za nimi. Kilka razy Władzio myli drogę i zajeżdżamy do — Belgii.

Celnicy wylatują i machają rękami. Jasio dodaje gazu i łapiemy drugiego Jasia. Władzio jest rozespany, myśli o swej niebodze. Nad ranem o 3 dojeżdżamy do Hayange. Jest to długa osada fabryczna, co posiada nawet tramwaj. Śpimy do rana w wozie a potem idziemy na poszukiwanie Polaków. Jest 3-ci Maj. Zaczynamy szukanie śladów od kościoła, potem na policji. Wreszcie łapiemy ślad prezesa Miejscowego Komitetu Walki. Świetlica jest tu potrzebna, lokal

mają, tylko, że dyrekcja kopalni jeszcze go nie odnowiła. W Boulogny — niedaleko — też założymy świetlicę za następnym nawrotem w te strony.

METZ

Jedziemy do Metz. Jedzie się jak na Śląsku: jedna osada wpada w drugą, tak że tylko tablice z nazwami miejscowości rozgraniczają sznury domostw. Krajobraz piękny, też jak na Śląsku. Zniszczenia duże. Sam Metz piękny, mimo, że nieźle zniszczony. Przy agencji konsularnej i Komitecie Walki robimy świetlicę dla przyjezdnych. Ginie nam tu plansza — mimo, że nikogo z obcych nie ma. Czerwieni się tylko jeden porucznik i ma niewyraźną minę. Nie rozumiem — co robi z planszą? Powiesi ją u siebie na kawalerce?

Na ulicach słyszy się często alzacki, czy czysto niemiecki. Ślady niemieczyny nie tylko w napisach i sztyldach — ale wogóle w stylu budownictwa. Z aprowizacją — słabiutko.



Z Metz jedziemy do Nancy. Okazuje się, że nie trzeba tam robić świetlicy, więc zwiedzamy piękne miasto i jedziemy do Toul. Szczególnie piękna jest cześć Stanisława w Nancy. Pamięć dobrego i mądrego Stanisława Leszczyńskiego do dziś jeszcze istnieje. W Nancy niejeden miły uśmiech wywoływały nasze Polandy.

TOUL

Toul jest jedną z trzech fortec francuskich na pograniczu: Verdun, Metz i Toul. Mieścina mała, wciśnięta między forty i kazamaty, a otoczona zewsząd popalonymi koszarami — pamiątka z 1940 r. Malutki Toul ma zniszczonych około 500 domostw, nie licząc w tym budynków publicznych — o czym mówi mi murarz, u którego kupuję gipsu trochę. Ludzie opowiadają tu niestworzone rzeczy o bohaterstwie Polaków w 1940 r.

Jeździmy od koszar do koszar, nigdzie nikt nie wie o żadnych Polakach. Zajeżdżamy i do obozu jeńców niemieckich, pilnowanych przez Rojsan i do szpitala amerykańskiego i znowu w samych właściwych koszarach żandarm amerykański nic nie wie o Polakach. Gdy nie mógł się dogadać po angielsku, wreszcie pyta:

— A ty mówisz po po'sku?

— No jasne. Jestem Polak.

— A to idź tam się spytaj.

Władzio poszedł do biura, a my z Jasiem mówimy, że tu widać polskie dzieci, polskie twarze i chusty, że to napewno tu. Rzeczywiście, zaraz koło wozów zbierają się. Z początku wszyscy do nas jakoś nieufnie nastawieni. Nic dziwnego — przyjeżdża do nich tylu różnych panów i z Lublina i z Londynu — przyjadą w eleganckich wozach, naobiecują dużo, zjedzą dobry obiad i rzadko podawszy rękę — odjadą. Jest to t. zw. fabrykowanie niezadowolonych, bo o demokracji wszyscy mówią i deklamują, ale jakoś jej zastosować nie chcą. Podoba się gospodarzom, że śpimy u nich, że nie pchamy się do hotelu, że pogadamy, popalimy i popijemy razem, że wszyscy razem robimy. Więc pomagali nam fantastycznie.

Koszary są prawie szkieletem. Dachów z zasady nie ma. Okien i drzwi — też. W takich warunkach mieszkają tu — nie mówiąc o błocie, które pływa po podwórzu. Gdy jeszcze wieczorem wyjeżdżamy do Toul po żarówkę i przewody elektryczne, po deski, listwy i gwoździe — niebardzo nam wierzą, że to dostaniemy. Oni tu są już dość długo i nie mają sposobów skombinowania tych rzeczy.

Gdy wieczorem wracamy ze zdobytymi rzeczami (papierosem wszędzie przejedziesz, wiesz pan jak jest, no nie? — mawiał zwykle Karol) — sala przeznaczona na świetlicę jest już oczyszczona, z drzwiami i oknami, skombinowanymi po kilku innych budynkach. Słuchamy jeszcze radia wszyscy razem — a nazajutrz w sobotę zabieramy się do dekoracji. Przy nadzwyczajnej pomocy robota «hula». Sprzedaje papierosy wszystkim Polakom. Nikt nie przyszedł drugi raz, choć kombinatorzy mogli to zrobić. Na 150 Polaków nikt nie poszedł drugi raz — na 6 czy 7 Czechów trzech usunowało drugi raz pobrać papierosy. Zwykle stwierdzenie faktu.

Na mezzetę jest świetlica gotowa. Jest takie małe jej otwarcie. Prezes mówi do zebranych w świetlicy o celach i zadaniach świetlicy, jak trzeba z niej korzystać i do czego ma służyć. Potem Redaktor, komendant obozu odpowiada. Podkreśla, że poprostu «bez obiecywań, wizyt i komisij przyjechali i zrobili, nie wstydząc się pracy». Żegnani przez niezwykle gościnnych i uprzejmym gospodarzy jedziemy w niedzielę wieczorem do Connantre.

CONNANTRE

Connantre to nasz ostatni etap. Przyjeżdżamy tu o 1 w nocy. Jakoś nam urządzają spanie i śpimy. Rano oglądamy obóz i lokal na świetlicę. Obóz jest olbrzymi i przypomina mi trochę zlot harcerski w Spale. Wokół zamku w lesie nad strumykiem stoją namioty i baraki. Jest maj, jest ciepło i ładnie — ale w zimie jak tu było? W dużym baraku mieści się szkoła, przedzie ona kocami i deskami na trzy klasy. Dwie nauczycielki i nauczyciel uczą brzdące, a jest ich ponad sto. Przysłuchujemy się lekcjom. Są świetnie prowadzone. Dzieci za swe grzeczne zachowanie dostały po paczce biszkoptów.

Świetlice robimy więc w szkole, a ją dowództwo francuskie przenosi do zamku, robiąc kombinację z izbą chorych i wymianę pojedynczych lokatorów. Świetlica w Connantre to właściwie dwie świetlice; świetlica za sceną i pokój ciszy. Obie ładnie udekorowane. Mimo że świetlica nie była jeszcze gotowa — urządzamy kominek i zabawę. Nauczyciel jest nie tylko dobrym nauczycielem i bokserem, ale i harmonistą. Dzieci mają przygotowanych parę numerów, jest tu dobry skrzypek i bardzo dobry zespół amatorski ze skeczem ludowym — do tego trzy deklamacje i parę piosenek a z naszej strony parę kawałów, piosenek i słówko o Ymce. W sumie naprawdę miły wieczór. Potem zabawa. Na drugi wieczór też.

Przykry wypadek mieliśmy ze sprzedażą papierosów: zaczęło przychodzić po raz drugi i trzeci — wreszcie skończyło się na tym, że przerwaliśmy sprzedaż. Było dużo rozżalonych, ale przyznali nam rację.

W Connantre zostaje nas koniec wojny. Dzieci w strojach krakowskich poszły złożyć wieniec u pońiki poległych, a my normalną pracą czcimy ten dzień. Wszyscy cieszą się, ale twarze zaszępiłe. Pytają czy na żniwa wrócą do Polski. Są w okresie, w jakim byliśmy w Rumunii czy po upadku Francji — są w okresie kryzysowym nostalgii. Kilka miesięcy zaledwie są niektórzy za Polską, a już im zdaje się, że nie wyżyją bez Niej. Nic sobie nie pozwolą tłumaczyć, owszem słuchają, ale, «aby przed żniwami!»

W piątek rano wyjeżdżamy do Paryża. Wracamy. Wracamy z uczuciem dobrze wykonanej roboty. Wszędzie na twarzach malowała się prawdziwa wdzięczność za ten kawał Polski wniesiony przez świetlicę w ich życie, wszędzie był pogodny uśmiech i radość: to nasze imkarskie «Keep smiling».

M.

Mimochodem

Sylwetki

Śmiałyśmy się z niej, że wariatka, że postrzelona. Dziewczę ma temperament, nudzi jej się na głuchoj wsi. Śpiewa, krzyczy, hałasuje, kokietuje. Wszędzie jej pełno. To był pierwszy wieczór.

Na drugi dzień pokazuje mi jak ludzie mieszkają: nędza. Są i czyste pokoje, gdzie dbają o to. Są ludzie, których siłą trzeba było napędzać do mycia. Pewna kobieta przysłała do obozu z wszami. Nie chciała się kapać. Gdy ją siłą rozebrano, rzuciła się, wyzywała sanitariuszki aż uszy puchły. Dziś właśnie przychodzi i mówi z dumą:

— A wie pani, że dzisiaj to się sama mył m. A tak, sama.

— No to się cieszę.

— A pewnie. Tylko, że mam do pani pretensje. Wczoraj kazała mi pani ustęp czyścić, przecie ja go wcale nie używam. Bo to u nas, wie pani to tak: gdzie się śpi, tam się i już.

Idziemy da'ej. Tu dziecku trzeba koszulę. Tam inne-

mu buty. Tu lekarstwo. Tam znowu coś. Uśmiechają się do niej. Widać, że ją lubią. Mówią do tej postrzelonej panny bezżebne babcie:

— O pani, to jak nasza mateczka. Dobrze.

— A niechże pani se spocznie trochę. Wciąż lata żeby innym co zrobić, a sama takie chuchro.

Lubią ją. Rozmawiam o niej. Miała okazję jechać do Paryża na posadę. Mogłaby skończyć medycynę, do której jej niewiele brakuje. Paryż, wielkie miasto, marzenie wielu.

Mówi mi:

— Wie pan, mam ochotę tam jechać, miałam kilka propozycji, ale jak pomyśle, że oni sami tu zostaną, to wiem, że nie pojedę stąd.

Uśmiecham się. Całuję jej rękę i mówię:

— Wczoraj powiedziałem pani, że pani to trochę wariatka. Dziś pani powiem, że lepiej byłoby na świecie, gdyby więcej takich wariatów było. Naprawdę.

Uśmiechnęła się też i błysnęła oczami.

Zakrzów

Nauczycielka. Starsza już, albo zniszczona. Wywożona siedem razy przez Niemców. Kilka tragedii w rodzinie. Ktoś w Oświęcimiu. Ktoś już nie żyje. Klasa — to jej życie dopiero. Tu nie jest deportowaną, bez swego kąta — w czterdzieści parę osób na małej sali. Mówi mi: «Proszę pana, mam tu i w innych obozach też są, siedemnasto- i osiemnastoletni analfabeci. Dobrze, że te dzieci w większości wypadków chcą się uczyć, bo im wstyd — a'e proszę pana niech nasze władze coś robią na miłość Boską, niech coś z tym zrobią. Chłopcy już palą, latają za dziewczynami, dziewczyny też już poznały życie z najbrudniejszej strony — co z tego będzie? Jak ich uczyć a, b, c, gdy dziewczyna była w domu publicznym?»

W obozie wieczorem rubaszny śmiech. W baraku piski i śmiechy. Chłopcy, chłopcy i baby złapały dziewczynę osiemnastoletnią i wsadzają siłą do łóżka chłopcu, co leży pod ścianą. Dziewczyna się broni, baby chichoczą, dzieci piszczą z uciechy, chłopcy rechoczą. Żeby nie było wątpliwości o co chodzi, baby pakuja dziewczynę pod chłopca, a dziewczynę jaśkiem głowę opatulają.

Wszystko to na oczach dzieci.

W baraku mieszka 24 osób. Parę małżeństw. Parę kochanków. Chodzi się od łóżka do łóżka. Poprostu.

Wszystko na oczach dzieci.

Jest dezynfekcja w obozie. Ludzie nie chcą przez nią przechodzić, bo jeszcze się boją, że będzie to jak w Niemczech, gdzie po to takie historie zarządzano, by tylko zniszczyć to, co biedacy mieli. Nie chcą zrozumieć, że zupełnie jest inny amerykański system, że nie niszczy ubrań.

Połowa ludzi uchyla się od dezynfekcji. Więc dowództwo zarządza wydawanie posiłków tylko tym, którzy wykażą się kartą otrzymaną przy dezynfekcji.

No i wiecie co? Są tacy, którzy poszli parę razy do dezynfekcji, bo to im nie szkodzi, a potem karty sprzedawali po 100 — 200 frs. Jakie miały wzięcie w obozie.

Śmieje się z niego i wspólczuje mu cały obóz. Wariat. Tak trochę i tak nieszkodliwie. Któregoś dnia prosili go Amerykanie, by zagrzał im wody do prania bielizny a dostanie za to coś. Amerykanie wyjechali już dawno, a chłopak z Wo'bromia, wiecznie uśmiechnięty i zadowolony, pali ogień dzień w dzień bez względu na pogodę.

Widzę go, jak brnąc na bosaka przez błoto niesie jakieś drzwi i koło ognia rąbie.

— A widzi pan, już się galancie pali, będzie zaraz woda. Kazali mi grzać, to grzeję, ale już dwa tygodnie nie przychodzi, że zaczynam już tracić cierpliwość. Jeszcze przez nich kataru dostanę — mówi, przestępując z nogi na nogę i pociągając nosem — pieruńskie błoto.

Nazajutrz też widziałem, jak kotły dymiły i jak chłopiec siedział koło ognia. Nie pójdzie prędzej spać, aż nie nagrzej wody.

Kończymy pewną świetlicę. Jest paru Amerykanów. Wszyscy śpiewają i śpiewając pomagają. Jest i Polak amerykański. Przychodzi do mnie i mówi:

— Ty słuchaj, ja wiem, że teraz ko'ed już się nie śpiewa, że to późno, ale ja tylko to umiem — a chciałbym sobie tak po polsku dzisiaj pośpiewać. No chłopcy, śpiewamy: «Gdy się Chrystus rodzi...»

Jakoś nikt nie ma ochoty na kolędy i nikt nie śpiewa. Polak z Chicago podchodzi i mruczy do mnie:

— Wiesz, ja umiem śpiewać po polsku, ale to co umiem to nieładne, to świństwo, to głupie, a ja dzisiaj chciałbym tak coś porządnego śpiewać. Ze sierocińca pamiętam tylko kolędy... No cóż, westchnął. To nie będę śpiewał...

*Wyjdziemy sobie w pole wiosennym wieczorem,
zasnutym mgłami co z łąką niebieszczejac wstana,
a za nami zostanie biały, cichy dworek
i kłomb duży przy wjeździe, pełen tulipanów.*

*I zostanie za nami sad wiosną obłędny
i gazon gdzie najlepiej bawiło się dzieciom
i spokój wewnątrz co pachną wciąż babek lawendą,
której nic nie wygoni, nawet silny przeciąg.*

*Zostanie stary dziadek patrzący z portretu,
wyblakłe fotografie, miłe ale śmieszne
i obicia spełnionych purpur i fioletów —
to wszystko co jest w słowach: sentyment i przeszłość.*

*Zostanie w swoim kącie pianino malutkie
zamknięte, gdzie się błąka jeszcze jakiś akord
dźwięczący wciąż tą wieścią i tym cichym smutkiem
że nazawsze w tym domu Olka już zabrakło...*

*Poszedł ojciec za ojcem, i znów brat za dziadkiem,
znów jednej fotografii pusto jest w wspomnieniach,
znówu wszystkie po nocach płaczą w domu matki —
Matusia i prababka i babcia Terenia.*

*Zostawimy to wszystko i pójdziemy w pole
patrzeć w wiosnę i słuchać i uczyć się tego,
za co dziadek gdzieś w lesie pod Czachowskim poległ,
za co teraz brat poszedł, jak nasz ojciec legum.*

*Pójdziemy sobie dróżką nie mówiąc o niczym,
weźmiemy się za ręce tak jak dwoje dzieci
i będziemy w horyzont szli lasów, koniczyn,
przyszłym żniwom i latu młodzieńczo naprzeciw.*

*Dwór daleko zostanie i sad pełen wiśni,
a jedwabna jak słuza cisza pól zakrzowskich
opłynie nasze ręce i słowa i myśli
i będzie nam tak dobrze każdym krokiem Polski,*

*A wracając przejdziemy tą samą drożyną
i zajdziemy od tyłu przez kuchenny ganek,
pogwarzyśmy troszeczkę ze siołą Malwiną —
a w sieni pachnieć będzie mięta i rumianek.*

*Malwina nam odpowie, że pani w salonie —
więc dobrej, smutnej Matce siądziemy u kolan
i książkę nieczytaną wezmę z bladych dłoni
książkę, którą pod drzewko położył raz Olek...*

*...A w uśmiechu Jej błysnie nieśmiała zapowiedź,
jakieś hasło co wyzwie znów kolej przeznaczeń
i położy Matusia rękę Ci na głowie ..
i ze szczęścia tak trochę cichutko popłacze.*

*Powie Ci ma Matusia, że córką Jej jesteś
i zapyta prosto: a możesz Ty głodna?....*

— Są takie konfitury, czereśnie z agrestem....

— i zajrzy dobroliwie Ci w oczy, tak do dna....

*Potem razem siądziemy przy starym portrecie,
na wypłowiej sofce podam Ci pierścioneł
i będziemy radosni i smutni jak dzieci,
jak ten wieczór wiosenny: czysty i zamglony.*

*I poproszę Cię jeszcze: siądziesz przy pianinie
i radosnym akordem tamten akord zdławisz:
otworzymy znówu okna, naprzestrzał niech płynie
wiosna, wiosna i wiosna, niech się błogostawi...!!!*

W OCZEKIWANIU WYROKU

Motto : «W imię prawdy musimy szeroko rozgłaszać echo cierpiącego narodu Polskiego».

«Razem» nr. 7-8.

Przed pewnym czasem doniosła prasa o aresztowaniu przez wojska sowieckie na terenie Polski osławionego wielkorządcy t. zw. Kraju Warty (Wartheland) — Greisera.

Jeden z największych katów niemieckich, który okrucieństwami swymi, stosowanymi wobec Polaków Ziemi Zachodnich — stanął w rzędzie czołowych zbrodniarzy wojennych — dziś oczekuje na swój wyrok. Interesującą więc rzeczą będzie przyjrzeć się choćby w najogólniejszych zarysach t. zw. działalności greisrowskiej na Polskich Ziemiach Zachodnich.

Ziemia ta została, po wrześniu 1939 roku, t. j. po klęsce militarnej Polski — włączone całkowicie do Rzeszy (wraz ze Śląskiem i Pomorzem) w odróżnieniu od dalszej części Polski t. zw. generalnej Gubernii. Z tą chwilą ruszyła na ziemię ta lawina rozporządzeń, zarówno jawnych, jak i tajnych, mających na celu jak najszybsze wmontowanie zdobytych obszarów polskich w organizm państwa niemieckiego. Dokonać się to mogło tylko przez całkowite przekreślenie ich przeszłości, tej dawniejszej i tej najbliższej, przez zrównanie z ziemią wszystkiego, co wyrosło na niej z pracy, potu i krwi nowożytnej generacji polskiej. Rzucono się na tę ziemię, będącą kolebką Państwa Polskiego, jak na kraj bezpański, jak na pustkowie kulturowe. Gwałtownym impetem zdruzgotano pulsującą bujnym życiem rzeczywistość polską.

Narodcy cywilizowane stworzyły prawo okupacyjne, które stosują względem ludności krajów zdobytych podczas działań wojennych. Niemcy, jak wiemy, nie kierowali się nawet cieniem prawa. Dla nich prawem najwyższym było bezprawie, zmierzające poprzez masowe mordy i obozy koncentracyjne, oraz całkowitą eksterminację do mechanicznego wytracenia narodu polskiego.

«Prawa Polaków do życia w jakiejkolwiek formie nie uznajemy» — powiedział Greiser, obejmując swe rządy w Poznaniu. «Kto Polakowi sprzyja — ten będzie zniszczony».

Kiedwiedziej znów mówił:

«Niemiec jest panem tego kraju — a Polak jego sługa. Kto jest przeciw takiemu pogładowi tego dotknie bezwzględność prawa albo władzy politycznej z całą surowością. Dlatego stwierdzam, że każdy Polak, który odważy się podnieść rękę przeciw Niemcowi będzie w każdej okoliczności i w najkrótszym czasie dzieckiem śmierci».

Tenże sam Greiser orzekł:

«Po raz pierwszy w niemieckich dziejach wyzyskamy nasze wojskowe zwycięstwo także politycznie. Niedy już ani centymetr ziemi przez nas zdobytej nie będzie należał do Polaka. Polacy mogą u nas pracować, ale tylko... jako parobcy».

Greiser każe traktować Polaków jak ludzi skazanych na ciężkie roboty za popełnienie największej zbrodni.

Jako szef zarządu cywilnego wydawał on rozporządzenia za rozporządzeniem, mające na celu całkowite ubezwładnienie ludności polskiej. To tak zwane usta-

wodawstwa niemieckie robiło wrażenie jakiejś żelaznej sieci zarzuconej na upolowaną zwierzynę, gniotąc ją i dławiąc śmiertelnie.

Oto np. jeden z okólników Greisera do władz S.S. i policji, który brzmi jak następuje:

«...Powołując się na rozmowę między inspektorem policji bezpieczeństwa i S.D. kierownikiem policji państwowej i moim rzeczoznawcą dla spraw narodowościowych — proszę polecić władzom podporządkowanym panom, by zgodnie z już wykonywaną dotąd praktyką postępowali na przyszłość wg. następujących zasad:

1. Niemcy, którzy utrzymują z Polakami stosunki ponad miarę urzędową lub gospodarczą, zostaną osadzeni w areszcie.

W ciężkich wypadkach, szczególnie wtedy, gdy Niemiec przez stosunki z Polakami poważnie zagroził niemieckim interesom państwowym, wchodzi w rachubę wywiezienie do obozu koncentracyjnego.

2. Za niezachowanie wymaganego dystansu uważa się przede wszystkim utrzymanie kilkakrotnego przyjaznego kontaktu z Polakami.

Niemcy przychwyceni przez policję na tym, że szli publicznie w towarzystwie Polaka — muszą na żądanie udowodnić urzędową przyczynę tego wspólnego wystąpienia z Polakami.

3. Niemcy przychwyceni na osobistym lub publicznym kontakcie z Polakami bez wiarygodnych przyczyn tegoż — mogą zostać aresztowani.

4. Niemcy, którzy obcują z Polakami — zostaną osadzeni w areszcie. Osoby polskie, płci żeńskiej, obcujące z Niemcami — oddane zostaną do domu publicznego.

5. O ile chodzi o młodzież powyżej lat 16, wówczas przepis o stosunkach z Polakami dotyczy uprawnionych do wychowania. Urzędy młodzieżowe należy powiadomić o aresztach.

Greiser, Poznań, 25. 9. 1940 r.

W okólniku tym znalazły wyraz najpełniejszy propaganda pogardy i dążenia do traktowania Polaków jako istot znajdujących się na najniższym szczeblu hierarchii społeczeństw ludzkich. W tym samym duchu i celu wydała się inne okólniki, wśród których na zacytowanie zasługuje okólnik Greisera do niemieckich gospodarzy o stosunkach z polską czeladzią.

Oto jego treść:

«Zwracam uwagę, że nie leży w interesie umocnienia niemieczyny i nie jest zgodne z pojęciami honoru Niemca, jeśli rolnicy i gospodarze ze swą polską czeladzią przy jednym stole jedzą.

O ile dojdą do mych uszu tego rodzaju wypadki — zastosuję przeciwko temu najostrzejsze środki». — Poznań, 11. 8. 1941 rok.

Podobnych okólników i zarządzeń Greiser wydał mnóstwo.

Walka z polskim żywiołem pod komendą Greisera rozgorzała niemal z pierwszym dniem okupacji. Teror objął wszystkie miasta, miasteczka i wsie — słowem całą Ziemię Zachodnią. Wszędzie były aresztowania, wywożenia, internowania, przesłuchy i rozstrzeliwania.

Uruchomiono cały potworny mechanizm, mający zni-

szyć doszczętnie Polaków, nie tylko jako Polaków, ale po prostu jako ludzi.

«Wy polskie psy macie u nas, niemieckich panów pracować do krwawego potu» — wołał Greiser ochrypłym ze wściekłości głosem — a dla «nieposłusznych» Herr Greiser miał jeszcze w zapasie t. zw. Fort Nr. VII w Poznaniu — największą katownię Warthengau, w której wytracono olbrzymi odsetek inteligencji wielkopolskiej i księży.

Trudno byłoby tu wyliczać wszystkie zbrodnie Greisera. Nie mieści się to w szczyptach ramach tego artykułu. Na to niewątpliwie składać się będą tomy całe materiałów i dochodzeń sądowych.

Dość wspomnieć dla przykładu tylko o jednej dziedzinie życia naszego: Religii i Kościele na naszych Ziemiach Zachodnich, by wykazać olbrzymie spustoszenia dokonane tam przez Greisera.

Według dokumentów znajdujących się w tajnie wydanej w Warszawie książce p. t. «Z pierwszej linii frontu» (Warszawa, 1943 rok), w Archidiecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej z 828 księży pozostało (wówczas tylko 34).

Z setek zabranych do obozów koncentracyjnych większość zamęczono tam lub rozstrzelano. Kościołów publicznych było w Poznaniu przed wojną 30, kaplic 47. W roku 1942 otwarte były dla Polaków 2 kościoły, dla Niemców 1. Z reszty kościołów zrobiono: 1 warsztat malarski, 4 składy mebli, 1 skład książek, 1 ujeżdżalnię, 6 składów i magazynów, opieczętowanych było 13. Razem 30.

Z 47 kaplic dla nabożeństw otwarta była tylko 1 (SS.

Eżbiatanek) dla rannych. Wszystkie inne zostały przebudowane lub opuszczone. Ogółem było w archidiecezji kościołów publicznych 441. Do roku 1943 dla Polaków otwartych było 30, dla Niemców 15. Opieczętowanych, przerobionych i użytych na inne cele — 396.

Wszystkie pomniki religijne i krzyże z miejsc publicznych — zburzono i usunięto.

To też religia zesłała do podziemi. Odżyły w Wielkopolsce najbardziej wzruszające momenty z dziejów Kościoła. Zniwo, jakie zbierali w duszach ludzkich zakonspirowani słudzy Boży było, mimo wszelkie usiłowania p. Greisera — jednym wielkim triumfem Kościoła i świadectwem głębokiej religijności całego narodu polskiego.

Bo naród polski, mimo barbarzyństwa Franków, Brachtów, Forsterów i Greiserów — barbarzyństwa nie mającego sobie równego w świecie i w historii istnieje i więcej niż istnieje: Naród Polski żyje. Żyje walką i w walce! Żyje na przekór przedczesnych triumfów ślepej materii, dając świadectwo duchowym pierwiastkom naszego istnienia i pierwiastków tych wyższości.

To też nie ważną jest dziś rzeczą, przed jakim sądem stanie Greiser, kiedy zapadnie formalny na niego wyrok i kiedy nastąpi tego wyroku wykonanie. Ważne jest to, że na osobie Greisera, oczekującego na nieuchronną i zasłużoną karę, widzimy odwet sprawiedliwości dziejowej, która ogarnąć musi wszystkich winnych mordów i grabieży, poniżenia i sponiewierania godności ludzkiej, męki matek i piekła dziecka polskiego. Ten odwet przyjsć musi i o tym zapomnieć nie wolno!

MOJE PRZEŻYCIA W OŚWIECIMIU

Poprawiając tylko błędy ortograficzne, a w niczym nie zmieniając stylu — podajemy to straszne w swej prostocie opowiadanie jednej z Oświęcimianek, jakie dostały się na teren Francji.

Gdy w Polsce w 1943 roku urządzano masowe łapanki ... ja również wpadłam w ręce oprawców i dostałam się do Oświęcimia. Gdy znalazłam się w tym strasznym miejscu ... to jeszcze nie chciało mi się w to wierzyć. Bo przecież nie popełniłam żadnej zbrodni. Więc nie chciało mi się wprost pomieścić w głowie, że i mnie przywieziono do Oświęcimia, bo będąc na wolności — słyszałam o tym łagierze śmierci.

22 stycznia o godz. 4-tej rano wyrzucono nas z pociągu na pole. W oddali widzieliśmy oświecone lampami miasteczko. Tak się nam zdawało. Najprzód gestapowcy zajęli się odłączaniem mężczyzn od kobiet i ustawianiem w piktaki. Gdy wreszcie skończyło się to popychanie i bicie ... poprowadzili nas do tego piekła na ziemi. Na niebie zaczęła świtać.

Doszliliśmy do wielkiej bramy, dookoła której oprowadzone dwa rzędy elektrycznych drutów. Po obydwu stronach bramy stał szpaler gestapowców. Na plecach mieli karabiny, a w rękach trzymali na łańcuchach psy, które rzucały się na ludzi. Ci, co się znajdowali tam przed nami — właśnie wychodzili do pracy. Nie byli oni podobni do normalnych ludzi. Twarze mieli szare a z oczu wзираł strach i cierpienie. Wszyscy mieli pasiaste ubrania i chustki na

głowach, z pod których widać było krótko ostrzyżone włosy. Wszyscy szli w piątkach — równym marszem a dęta orkiestra grała marsza «Rozamunda». Ludzie ci ukradkiem wyciągali do nas ręce szeptał po cichu: «Polacy, chleba!» Na takie powitanie ścisnęło mi się serce i miałam łzy w oczach. Żał mi było tych ludzi i strach o własny los. Lecz stłumiłam to wszystko w sobie, bo nie było dużo czasu. aby się nad tym zastanawiać — ponieważ gestapowcy pognali nas dalej.

Najprzód zaprowadzili nas do łaźni. Zdarli z nas wszystko ubranie, ścięli nam włosy i wpakowali nas do parówek, gdzie trzymali z pół godziny. Było tam tak gorąco, iż myślałam że już jestem w kominie. Stamtąd wygnali nas pod zimną, lodowatą wodę, która lała się strumieniami z pryszniców. Przytym popychali i bili po nagich ciałach gumami. Następnie spędzili nas do olbrzymiej sali i tak rągo chodziliśmy od stolika do stolika — dopóki nas nie spisali i nie wybili numerków na rękach. Minął cały dzień. Wieczorem wydano nam pasiaste suknie, drewniaki i chustki na głowę i wprowadzili do 7-go bloku. Byłam bardzo zmęczona i głodna, a te wszystkie przeżycia przygnętały silnie moje serce i duszę. Czulałam się okropnie. Blok był duży. Mieściło się w nim tysiąc osób. Prycze były murowane, a w każdej z nich było przeznaczone miejsce na 10 osób. Widok był straszny: kobiety bez włosów. Wszystkie w pasiakach. Twarze porośnięte włosami. Dzikie spojrzenia. Na ten obraz odrązu dostawałam dreszczy. Dali nam pół litra zupy, która gotowana była z trawy i łupin od kartofli i do tego salętrowana. Po zupie tej okropnie chciało się pić — lecz wody nie było. I tak ludzie mdleli z pragnienia —

wepchano mnie do jednej z dziur — gdzie było trochę miejsca, o tyle że mogłam położyć się z podwiniętymi nogami a głowę opartą o czyjeś plecy. I tak zeszła mi noc.

Nazajutrz o godzinie 3-ciej rano wypędzono nas wszystkich na apel. Musiałyśmy stać w piątkach do godziny 8-ej bez ruchu, a która się poruszyła dostała gumą po plecach lub głowie. O 8-ej poprowadzili nas do pracy. Zapędzili do bagna i kazali kłaść błoto do taczek i wieźć na wysoką górę. Przytym bito, popychano bez żadnego powodu, jedynie dlatego, żeśmy były Polkami. Niektóre kobiety po pracy i szturchaniach nie mogły o własnych siłach iść do domu. Muciałyśmy je nieść na noszach. Z początku byłam przerażona okrucieństwem tych ludzi, lecz później to było na porządku dziennym dostać gumą po plecach lub policzek. Ale to było nie w porównaniu z tym, że niektóre bito do pół śmierci za to że stanęła lub obejrzała się. I nie było tego dnia ażeby sześć — siedem kobiet nie musiały nieść na noszach. Niektóre nam umierały po drodze, a te które nie mogły stać na nogach lub iść — brano na specjalny blok, z którego już nikt nie wracał do życia. Dlatego każda bała się chorować, bo najmniejsze niedomaganie prowadziło do komina. A były też takie, które nie mogły już iść do pracy — więc podtrzymując jedna drugą —

szły na ten blok — by jaknajprędzej zakończyć to okropne życie. Na tym bloku nie dawano żadnego pożywienia. Jedni umierali sami i tych zabierano razem z żywymi do komina.

Pewnego dnia ogłoszono generalny apel. Nie wiedziałam kich za bramę w pole. A było nas pięćdziesiąt tysięcy. Je- co to znaczy więc byłam spokojna. Wypędzono nas wszystkich ustawili w piątki, innym znów kazano stanąć gęsiego. Znajdowałam się w tym drugim rzędzie. Na przedzie stanęła aufseherka — szatan w ludzkim ciele i jeszcze kilka innych Niemek — i kazali nam iść gęsiego. Jedna z Polek szepnęła mi, że będą wybierać do komina. Zaczęłam drzeć na całym ciele. Lecz nie było ratunku. Lecę już ... i widzę tę okropną postać niedaleko. Nie patrzę na nią. Wtym laska mi przed oczyma miga. Włosy stanęły mi dęba. Lecz laska padła na kobietę, która biegła przede mną. Gdy ją wyciągnięto z szeregu ... skoczyłam chyba parę metrów. Serce mi biło tak, że nie mogłam złapać tchu a na czoło wystąpił mi śmiertelny pot. A gdy się ogłódnełam i ujrzałam daleko już migającą łaskę — wtedy doszłam do siebie.

W tym dniu kilka tysięcy poszło do komina.

KATARZYNA URBANOWICZ

APEL W OŚWIĘCIMIU

*Nad Oświęcimm słońce wschodzi
różową smugą jasną,
słoiemy w rzedzie starzy i młodzi
nad nami gwiazdy gasną.*

*I tak słoiemy w porannym apelu
codzień w pogodę i słotę,
i tylko widać po twarzach wielu
rozpacz, ból i tęsknotę.*

*Bo przecież teraz szara godzina
w mym domu dziecko płacze.
a może mnie moja mama wspomina
czyż ja ją jeszcze zobaczę?*

*Mile pomarzyć, że może teraz
najdroższy mój o mnie myśli,
a jeśli, o nie daj Boże,
oni po niego przyszedli?*

*I wszystko się dzieje pięknie dalej
jak na filmowym seansie,
nagle u zbiegu dwóch alej
zajeżdża ktoś w dyliżansie.*

*I zeskakują zwinnie, powoli
błękitne aufseherki,*

*my zamieniamy się w nicłość,
w bezsens, w numerki.
Potem nas liczą z dumną pogardą
One! --- te z wyższej rasy,
Te są niemiecką awangardą
liczą to było w pasy.*

*I nagle drgniesz jak prądem rażona
błyśnie myśl, jak rakietą,
bo przecież to także matka lub żona ---
kobieta --- i ja kobieta.*

*Czyż to możliwe, że świat taki podły?
Achtung! --- równać na przedzie,
moment ultra-kulminacyjny
lager-komendant jedzie.*

*Nad Oświęcimm słońce wschodzi
różoną, jasną smugą,
Boże, my tak błagamy Ciebie
Prawda --- że to już niedługo?*

Wiersz ułożony wspólnie i śpiewany codzień pod jakąś obozową melodię przez polskie kobiety w Oświęcimiu. Dostał się on niedawno na teren Francji. Wiersz ten dotychczas nie był nigdzie drukowany.

MYŚLI O KSIĄŻCE

Kto czyta — żyje wielokrotnie. Kto zaś z książkami obcować nie chce — na jeden żywot jest skazany.

Józef Czechowicz.

Nie tylko pisarz jest twórcą książki. Oddźwięk, który książka znajduje w sercu i umyśle czytelnika, może być również twórczy. Pisarz stwarza wizję życia. Czytelnik może ją przyjąć lub odrzucić, pokochać lub znienawidzić. Jedna obojętność niesie książkę śmierć.

Jerzy Andrzejewski.

Książka i możność czytania, to jeden z największych cudów ludzkiej cywilizacji.

Być doskonałym odbiorcą, być genialnym czytelnikiem, — to rzecz tak mocno zaszczytna, jak być dobrym poetą — a przed Bogiem może nawet zaszczytniejsza, bo nikt o niej nie wie, tylko ty i On.

Maria Dąbrowska.

Czytanie jest sztuką, w której doskonalimy się, czytając.

Emil Zegadłowicz.

Dobre książki, to przyjaciele, którzy nigdy nie zawo-
dzą.

Karol Irzykowski.

A SONG TO REMEMBER

Jak sobie Hollywood wyobraża życie Szopena

W Ameryce i Anglii (a niedawno zapowiadany i we Francji) ostatnią nowością jest film o Szopenie p. t. «A song to remember», wyprodukowany przez Hollywood. Poniżej przedrukowujemy recenzję p. Karola Bratka zamieszczoną w jednym z polskich pism młodzieżowych w Anglii.

Miły, kolorowy, ilustrowany przepiękną muzyką film amerykański o Szopenie, wyświetlany obecnie w Londynie, irytuje widza swoimi błędami biograficznymi i historycznymi. Prawdziwe fakty z życia Szopena i to historyczne jego życia potraktowano w tym filmie z wrodzoną producentom amerykańskim bez troską. Któżby zwracał uwagę na takie «drobiazgi», jak przesunięcie daty powstania listopadowego z roku 1830 na jakąś późniejszą, bliżej zresztą nieokreśloną datę? W dodatku cała jakby treść prawdziwego życia Szopena została w tym filmie przeinaczona. Polska, która w życiu Szopena, człowieka i artysty, była prosto — ojczyzną, tym droższą, że daleką i nieszczęśliwą, w ujęciu Hollywood staje się fatalną jakąś ośmiornicą, która żąda od niego cyklu koncertów i już, nawet żeby miał zaraz potem umrzeć.

Cała bowiem kariera artystyczna Szopena obraca się w tym filmie dokoła zagadnienia: czy Szopen ma się zamknąć w domu pisarki francuskiej George Sand, w Nohant, jak w pustelni i poświęcić się wyłącznie tworzeniu, czy też ma dawać koncerty na poskie cele patriotyczne. George Sand uważa, że powinien komponować w Nohant i sprzeciwia się koncertom; przez pewien czas zgadza się z tym i Szopen; tymczasem jego patriotyczni przyjaciele z jego starym profesorem muzyki, Józefem Elsnerem na czele, żądają, żeby dawał koncerty, które rozślawiłyby imię Polski zagranicą i przyczyniłyby się do finansowego poparcia wolnościowych ruchów polskich w Kraju. Patriotyzm i Etiuda Rewolucyjna zwyciężają, Szopen porzuca George Sand i z amerykańskim rozmachem objężdża wszystkie stolice świata, odnosząc między innymi tryumfy w Rzymie i w Budapeszcie, gdzie nigdy w życiu nie był. Ale przypłaca tę ofiarę całkowitym wyczerpaniem organizmu już przedtem osłabionego chorobą płuc — i umiera.

W rzeczywistości tymczasem Szopen najspokojniej dawał koncerty od początku swojej kariery, w Warszawie, Wiedniu, a później w Paryżu i w Anglii, i to bardzo często właśnie koncerty ma cele patriotyczne. Miał on jednak bardzo delikatne uderzenie — zwłaszcza w ostatnich latach życia, wobec rozwijającej się choroby płuc — coraz słabsze — i dlatego zawsze wolął koncerty prywatne niż wielkie imprezy publiczne w salach koncertowych. Niezależnie od dawania koncertów miał jeszcze czas nie tylko na to, żeby tworzyć, ale i żeby dawać lekcje muzyki.

Niektóre sceny z dzieciństwa i młodości Szopena, włącznie z owym koncertem z nieprawdziwego zdarzenia, danym przez niego wspólnie z Paganinim dla gromady zjadaczy kawioru i chleba, są poprostu zmyślone. Profesor Elsner, który w amerykańskim filmie od-

grywa tak wybitną rolę zwłaszcza jako Anioł-Stróż we Francji — w rzeczywistości wcale z Szopenem z Warszawy nie wyjechał. Konstancji Gładkowskiej, swojej pierwszej miłości, Szopen także już po wyjeździe z Warszawy nie widział, a u jego łóża śmierci w Paryżu stała wcale nie Konstancja, tylko najstarsza jego siostra Ludwika Jędrzejewicz. Drugą wielką miłość i tragiczne rozstanie Szopena z Marią Wodzińską — Hollywood wogóle pomija milczeniem, a z George Sand robi olśniewającą piękność, którą wcale w rzeczywistości nie była (a za to paliła cygara!!). I tak dalej, i tak dalej.

Nie warto wyliczać wszystkich — bardzo licznych — przeinaczeń w scenariuszu tego miłego skądinąd filmu. Warto tylko przypomnieć sobie pokrótce najważniejsze fakty i dały z prawdziwego życia Szopena.

Urodził się on w Żelazowej Woli, niedaleko Warszawy, 22 lutego 1810 roku; w tym samym roku rodzice jego przenieśli się do Warszawy, gdzie stary pan Szopen wykładał w kilku szkołach warszawskich języka francuskiego, a przez pewien czas prowadził też pensjonat dla chłopców. Ojciec Szopena urodził się w Lotaryngii, ale mając lat kilkanaście osiedlił się w Polsce, a ożenił się z p. Justyną Krzyżanowską. Co do niezaprzeczalnej polskości Szopena i co do pośkiego w stu procentach charakteru jego sztuki nikt nie ma dziś wątpliwości.

Zanim Szopen wyjechał z Warszawy 1-go listopada 1830 roku, miał już w rodzinnym swoim mieście sławę wielkiego artysty. Kiedy był w drodze do Paryża, we wrześniu 1831 roku dobiegła go w Stutgarcie (a nie w Paryżu, ani w Nohant) wieść o upadku powstania listopadowego i o wzięciu Warszawy przez Rosjan. Pod wrażeniem tej tragicznej wiadomości skomponował Szopen wówczas słynną, przepiękną, dramatyczną Etiudę Rewolucyjną, której główny motyw przeplata się pięknie przez drugą część filmu «A song to remember». Osiadłszy w Paryżu Szopen grał i tworzył, zdobywając uwielbienie tłumów, przyjaźń znakomitych i podziw koronowanych.

Nie wrócił już nigdy do Polski i zmarł w Paryżu jesienią 1849 r. Pochowano go na cmentarzu Pere-Lachaise, a serce jego przewieziono do Warszawy i złożono w Kościele św. Krzyża. W czasie ostatnich walk w naszej stolicy uratowano je z ruin i płomieni i przewieziono pod Warszawę. A kiedy ustąpił z Warszawy Niemcy — korespondenci pism sowieckich donieśli, że wśród gruzów i zgłiszcz można w stolicy Polski odnaleźć dom z takim na murze napisem: Tu żył i tworzył Fryderyk Szopen...

W ciągu 150 lat naszego życia narodowego naród amerykański i naród polski nieprzerwanie utrzymywały przyjaźń, opartą na wspólnym duchowym ideale.

Prezydent Roosevelt.

Odrodzić dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym i silniejszym — oto zadanie wasze.

Józef Piłsudski o roli wychowawców.

Kolumna poezji

BEATA OBERTYŃSKA

Cela

Cela — to nie jak w bajce: cisza i błysk
wysokiego w kratkach okienka....

Cela — to upał, wrzask i ścisk,
brak wody i ślechły pęcał....

Cela — to nie samotność, słoma, dzban
i szczura tętent jedwabne....

Cela — to ciągła świadomość, że tam
szynel pod drzwiami i bagniet....

Na lepkiem zwątem śpiących na podłodze ciał,
w noc — której nie wolno być sobą....
oślepiający bąbel szkła:
żarówka tuż nad tobą....

I ta wątpliwa uczynność snów,
co cię podziemnym kanałem,
na parę godzin wypuszczą — by znów
lojalnie odstawić nad ranem....

I te uporem zwarte kły
i wola, jak pięść ściśnięta,
aby — na przekór tym z pod drzwi —
przetrzywać — i zapamiętać....

Tajga

Tajga.... Wilgocią obrzękły mech,
i krzaki ukłękłe w moczarze....
Nie wiem za jaką zbrodnię i grzech
Bóg im tu rosnąć każe....

Nie wiem pod wagą jakich win
ci ludzie senni i szarzy,
z nad smugi świeżo ładzionych szyn,
nie wznoszą ziemistych twarzy....

Tuż obok, wparty w mokry chaszcz
ognienień rudo pełga....
.... Gdzie nie gdzie jeszcze wojskowy piasecz
i czapka — już bez orzetka....

Dym mija gnaty chudych pni
i brzoźki podkurza 'nagie....
Dźwięczące — mętne — chciwe krwi
komary idą od bagien....

Trudno tu poznać: noc czy dzień
pełnie przez grzaski moczar?
Noc się tu teraz nie wlatcza w cień,
dniom za to czarno w oczach....

Tajga.... jak w bagnie gnijący trup....
Głusza na wieki wieków....
Otchłań, gdzie zda się — nawet Bóg
zapomniał o człowieku....

Są to dwa wiersze pisane po pobycie
w Rosji — w podróży do Teheranu.

LEOPOLD STAFF

Pogrzeb

O-hej! Gospodarzyłeś wśród ról, gospodarzu,
Odtąd se gospodarzyć będziesz na cmentarzu.

Pierwszy raz dzisiaj równo nie wstałeś ze słońcem
I nie ruszyłeś w pole z wysokim skowroncem.

Pierwszy raz się nie dźwigasz do twardych niedogód,
Chociaż już było ryczy i chociaż piał kłopot.

Hej, dość kopałeś ziemię ciężkimi wysiłki,
Ninie ziemię dla ciebie kopią na mogiłki.

Hej, kosiłeś ty zboże w pospólnej potrzebie,
Ninie śmierć ostrą kosa, jak kłosa żęła ciebie.

Hej, zwoziłeś ty bujne a dostałe zboże,
Ninie w truchle na wozie ostatnie masz łożo.

Hej, powłóczyłeś wołmi szeroko, szeroko,
Ninie na bożą rolę woły ciebie włoką.

Hej, kładłeś złote siewy w czarnej brzoźdy grobie,
Dzisiaj czas w brzoźdę grobu położyć się tobie.

Sosnowych desek białe zamknęły się ściany,
Na wieku krzyż czernieje dziegiem malowany.

Poslednią ci posługę dają kmotry łmiecie
I, choć po ciemku jedziesz, świecą ci ich świece.

Lamentem żałobnym zawodzą niewiasty
I skrzypiąc głucho, jęczą po tobie kół piasty.

Służy ci dziś dolnica, drabki i rozwora
I jedziesz se paradnie, niby pan ze dwora.

Nie musisz mu czapkować dziś, on skroń odhryje,
Gdy ci ksiądz, jak w kościele, zaśpiewa rekwię.

Rosiłeś potem ziemię, wśród żmudnych niemydół,
Dziś ciebie zrosi wodą święconą kłopotdół.

Niejeden krzyż znosiłeś na tej ziemi grzędzie,
Odtąd mać-ziemia święta twój krzyż nosić będzie.

Sporczywać sobie możesz i wczasować gnuśnie,
Cztery chłopcy ci noszą, jak żniw brzemie łusnie.

Spuszczając w dół, gdzie nocą cię czeka najcichsza,
Śmierć garnie cię, jak ziarno, do swojego śpichrza.

I szumieć ci nad grobem będzie krasnolica
Kalina, hej! czerwona, jak twoja kłrawica....

Dwie chwile

(Dwa chjele)

Chociażem czekał i dzień i noc
Na chwilę, która życie umili;
Chociażem tężył caluszką moc —
Ja nie ujrzałem tej chwili!

Nieraz myślałem caluski dzień:
Kiedyż ta miłość zawita do mnie?
A ona szła tu za mną, by cień ---
I gdy dumalem --- przeszła koło mnie...

Woś Budzysz — najwybitniejszy obok Derdowskiego współ-
czesny poeta liryczny polskiego Pomorza Kaszubskiego. Napisał
„Spiewe nowotne”. Drukował swe utwory w „Gryfie” w narzeczu
kaszubskim. Nicktore przełożono na języki czeski, niemiecki, serb-
ski. — Tłum. J. Mondschein.

Parę słów o plutokracji

„Państwa osi walczą z komunizmem rosyjskim i z plutokracją państw demokratycznych” — to nietylko hasło, zdobywające wiele popularności Hitlerowi, ale rzeczywista prawda. Temu to zapewne zawdzięczać należy, że tak często daje się wśród polskiej inteligencji uchodźczej słyszeć zdanie o fatalnym losie, który nakazał nam stanąć w obozie przeciwników „najmądrzejszego” ustroju i „najmądrzejszego” człowieka. Głosy te, śmiałe i odważne w epoce zwycięstw Hitlera, uciły dziś bardzo, ale nie należy się łudzić, że jest to wynikiem zmiany przekonań wśród polskich entuzjastów ustroju Trzeciej Rzeszy. Tylko obecnie nie jest bezpiecznie ani przyjemnie przyznawać się do tego publicznie.

Przyczyn tych tęsknot do ustroju faszystowskiego jest zapewne wiele i nie myślimy tutaj zajmować się całokształtem tego zjawiska, pragnąc skupić światło na jednym z mniejszych, ale bardzo istotnych fragmentów rozumowania przeciętnego polskiego inteligenta.

Pominiemy tu rozmyślnie sprawę wrogiego jego nastawienia do komunizmu i zatrzymamy się nad zagadnieniem niechęci do „plutokracji”. Do niedawna inteligencja nasza nie zastanawiała się nad tym słowem, znając go raczej tylko z historii starożytnego świata, bez żadnego związku z dzisiejszą rzeczywistością. Zdarzało się bowiem często, że w tych czy innych kołach polskiego mieszczaństwa i inteligencji pracującej odzywały się głosy wrogie wszelkim pomysłom socjalistycznym, było pogardliwe traktowanie demokracji, marzenie o silnym autorytaryzmie, nacjonalistycznym ustroju państwowym, a wyraz „plutokracja”, dość chętnie do niedawna powtarzany, nie istniał w słowniku politycznym, używanym w Polsce.

Czemu zaczyna on dziś zawdzięczać swoją popularność? Czyżby naraz idee socjalistyczne tak szeroko rozszerzyły się w społeczeństwie polskim, że zjawiała się powszechna wrogość do wielkiej burżuazji, do plutokratów? Czy to może tak słaby u nas przed wojną komunizm zyskał tylu zwolenników, że zapaliliśmy wszyscy nienawiścią do bankierów z londyńskiej City, nowojorskich businessmanów, czy „200 rodzin” francuskich? Napewno nie! Jeszcze jedno nieporozumienie!

Gdzieindziej szukać należy przyczyn omawianego zjawiska. Tkwią one głęboko w najtańszych zakamarkach duszy polskiego drobnomieszczaństwa i związane go z nim „proletariatu w białych kołnierzykach”.

Niechęć do wielkiego przemysłowca czy bankiera nie wypływa tu z wrogiego stosunku do ustroju kapitalistycznego wogóle, ani tym bardziej do prawa własności prywatnej środków produkcyjnych i swobody bogacenia się w ramach dozwolonych przez kodeks karny. Źródłem wrogiego nastawienia do wielkiego mieszczaństwa jest tu tylko i jedynie podświadoma obawa niebezpieczeństw grożących drobnej własności ze strony magnatów przemysłu i finansów.

Właściciela średniego czy małego zakładu szewskiego straszy po nocach widmo „Baty”, wytwórca smoków w powiatowym mieście z nieukrywaną niechęcią patrzy na reklamowy wóz Wedlowskiego komiwojagera, niezasiedziały jeszcze w swej klasie społecznej robotnik fabryczny trzęsie się w strachu o swój wyma-

rzony przyszły własny warsztat, mający uczynić go „panem na swoim”, właścicielem własnej szarpaniny, nędzy i umysłowej stęchlizny.

Martwi się strasznie drobny sklepikarz, że przestanie pracować 16 godzin na dobę wraz z całą swoją rodziną, że nie będzie już musiał być popychadłem każdego posterunkowego z jego dzielnicy, że, jednym słowem, utraci swój sklepik, a zostanie sprzedawcą w składzie fabrycznym wielkiej firmy, chronionym przepisami o pracy i wypoczynku. Boi się, że może po raz pierwszy w życiu znajdzie się na urlopie.

„Ratować rzemiosło!” „Bronić drobnego hand'u!” „Nie pozwolić na proletaryzację drobnomieszczaństwa!” „Popierać małe przedsiębiorstwa!” „Stwarzać robotnikowi perspektywy awansu społecznego!” — oto pierwsza z brzegu garść hasel, dźwięczących nam jeszcze w uszach z niedawnej polskiej przeszłości.

Zastanówmy się nad tym chwilę, z punktu widzenia człowieka pracy, nie zastanawiając się, jakie wykonuje funkcje i jaki nosi strój.

Ludność zawodowo czynna poza rolnictwem w czasie ostatniego spisu ludnościowego (w 1931 r.) w Polsce wynosiła 5 milionów 335,6 tys. osób, w tym samodzielnych było 1 milion 464,4 tys.

Spróbujmy rozpatrzyć zagadnienie wielkiego i małego przedsiębiorstwa nie z punktu widzenia tego niepełna półtora miliona samodzielnych przemysłowców, kupców, rzemieślników itp., ale ze stanowiska najemnika, którym jest zarówno pracownik umysłowy jak i fizyczny. Dla najemnika zaś w jego stosunku do przedsiębiorstwa decydującą rolę odgrywają warunki pracy, jej trwałość, zabezpieczenie przyszłości oraz możliwości czasów i wypoczynku.

Weźmy dla przykładu sprawę płac robotniczych. Przeciwną wysokość tych zarobków była tym wyższą, im większym był zakład przemysłowy, np. w 1936 r. przeciętny godzinny zarobek robotnika (mężczyzny) wynosił:

przeciętny godzinny zarobek robotnika (mężczyzny) wynosił:

W zakładzie zatrudniającym:

do 49 robotników	— 0,59 zł.
od 50 do 199	— 0,67 zł.
od 200 i więcej	— 0,76 zł.
Zarobek kobiety wynosił odpow.	— 0,39 zł.
	— 0,43 zł.
	— 0,54 zł.

Podobnie przedstawia się sprawa z młodocianymi: chłopcy zarabiali, biorąc pod uwagę wymienioną wyżej kolejność:

	— 0,17 zł.
	— 0,17 zł.
	— 0,20 zł.
	— 0,24 zł.
dziewczeta:	— 0,20 zł.
	— 0,23 zł.
	— 0,27 zł.

Przeprowadzone w 1933 r. szczegółowe obliczenia wysokości zarobku tygodniowego robotników w poszczególnych gałęziach pracy stwierdzają, że wynosił on przeciętnie:

w hutnictwie	— 46,2 zł.
w górnictwie	— 37,6 zł.

w przemyśle przetwórczym :	
wielkim i średnim	— 27,4 zł.
drobnym	— 22,8 zł.
w rzemiośle	— 18,4 zł.
w chałupnictwie	— 14,0 zł.

Już te cyfry wykazują jasno, że płace robotnicze w wielkim przemyśle były bez porównania wyższe niż w zakładach drobnych. O rozmiarze nędzy robotnika zatrudnionego w rzemiośle czy chałupnictwie niech świadczy nadto fakt, że na robotach publicznych, gdzie z reguły niemal nie wymaga się żadnych specjalnych kwalifikacji, gdzie często praca miała charakter przypadkowego „zatykania dziur” bezrobotnymi, przeciętne płace zatrudnionych wynosiły tygodniowo 14,1 zł., a więc więcej niż w chałupnictwie. Nie zapominajmy również przy rozpatrywaniu tego zagadnienia o czasie trwania pracy.

Przeciętnie czas pracy robotnika zatrudnionego w wielkim i średnim przemyśle przetwórczym wynosił w Polsce niewiele ponad 40 godzin tygodniowo. Kto zaś potrafi obliczyć ilość godzin pracy najemnika w rzemiośle, lub jak długo trwa codzienny wysiłek chałupnika? Te swoje 14 zł. tygodniowo wydusić musiał chałupnik z siebie, rezygnując z najniezbędniejszego odpoczynku, kilka zaledwie godzin kradnąc na sen i posiłek.

A trwałość tego zarobku, trwałość wywalczonych warunków pracy? Gwarantowały je robotnikowi umowy zbiorowe, umowy zawierane pomiędzy organizacjami robotniczymi a przedsiębiorcami. Umowy takiej nie zawierał nigdy właściciel małego czy średniego zakładu, to też nie wyda to się chyba dziwnym, gdy stwierdzimy, że owe przytoczone wyżej najwyższe stawki, osiągnęte przez najemników w zakładach zatrudniających ponad 200 robotników, są jednocześnie stawkami w zakładach stosujących umowy zbiorowe.

A warunki pracy wewnątrz zakładu? Tu już rozpiętość jest wprost fantastyczna. Bezpieczeństwo pracy, udoskonalenia techniczne, pozwalające robotnikowi na racjonalne wykorzystywanie swego wysiłku, istnienie często drobnych, ale istotnych wygod w krótkiej chwili posiłku czy wypoczynku — to wszystko było na rękę wielkiemu przedsiębiorcy. Opłacały mu się koszty wyłożone na utrzymanie pracownika w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Właściciel małego zakładu nie ma na to najczęściej ani możliwości technicznych, ani odpowiedniego kapitału.

Nawet wśród dużych fabryk sytuacja robotnika lepsza jest w zakładzie największym. Weźmy dla przykładu jedną z najbardziej bolesnych w Polsce spraw, t. j. zagadnienie ochrony macierzyństwa robotniczego.

A nie był to problem mały, skoro wśród pracowników najemnych poza rolnictwem, kobiety stanowiły znacznie ponad milion osób. Faktu tego nie chciano w Polsce uwzględniać ani o nim słuchać. Zamykano oczy by nie dojrzeć, że jedną trzecią pracowników stanowi kobieta, ta sama kobieta, która ma być matką nowego pokolenia, będącego — jak to lubiano deklamować — przyszłością ojczyzny.

Każdy podrzędniejszy nawet dygnitarz umiał w Polsce wygłaszać frazesy o młodzieży, ale nie chciał słyszeć, że ustawa o ochronie macierzyństwa robotniczej, nakazująca organizację urządzeń kąpielowych oraz żłóbka dla niemowląt, dotyczyła tylko fabryk, które zatrudniały ponad 100 robotnic.

Kobieta pracująca w mniejszym zakładzie, musiała po urodzeniu się dziecka, albo rzucać robotę, albo — gdy na to nie mogła sobie pozwolić — pozostawiać

swę niemowlę na łasce zniechęconych, pozostających w domu krewnych lub sąsiadów. Może ktoś na to odpowiedzieć, że kobieta wogóle nie powinna pracować, ale, odkładając zasadniczą odpowiedź na później, stwierdzamy, że mówimy o sytuacji jaka już dawno we wszystkich krajach zaistniała i o tym, jaki był do niej stosunek.

Wracając jednak do poruszonej tu sprawy macierzyństwa kobiety pracy, dodajmy, że ustawa nigdy nie wystarcza, trzeba ją jeszcze wykonać. Otóż ogłoszone w 1937 r. przez Główny Urząd Statystyczny dane świadczą, że odsetek fabryk, objętych ustawą, ale jej nie wykonujących, wynosił aż 40 proc. Odsetek natomiast pokrzywdzonych przez to kobiet wynosił tylko 30,9 proc. Znaczy to poprostu, że ustawę wykonywały przede wszystkim fabryki większe. A więc znowu mniejszy, choć w danym wypadku dość zamożny, przedsiębiorca oszczędzał wbrew obowiązującej ustawie na zdrowiu robotnicy, jej dziecka i społeczeństwa.

Weźmy teraz inny przykład, jeżeli ten wydać się może komuś zbyt specjalny. Niech to będzie np. zagadnienie urlopów robotniczych.

W styczniu 1934 r. przeprowadzona została w Polsce specjalna ankieta, dotycząca statystyki wykorzystania urlopów przez pracowników w przemyśle. I okazało się znowu to, co było łatwe do przewidzenia: robotnik korzystał ze swego prawa do wypoczynku głównie w wielkim zakładzie. I tak np. w przemyśle papierniczym, pisze M. Rotterówna, po przeprowadzeniu szczegółowych obliczeń, istnieje wyraźna różnica między „wielkim przemysłem w ścisłym znaczeniu, a przemysłem wyrobów papierowych, składającym się w znacznej części z drobnych zakładów: właśnie wśród tych małych zakładów znajduje się główna część tych, w których bądź nie znaleźliśmy żadnych wzmianek o wykorzystaniu urlopów, bądź też dniówek wykorzystanych okazało się o wiele mniej od należnych.”

To samo było i na innych odcinkach naszego życia przemysłowego. I nie mogło być inaczej: pracownik odchodzący na urlop w małym zakładzie rzemieślniczym czy półrzemieślniczym, stanowił często trudną do zapełnienia lukę, brak jego dezorganizował robotę, było to zło może konieczne, ale tym nie mniej zło. W wielkim przedsiębiorstwie zagadnienie urlopów było łatwiejsze do przeprowadzenia, zgodnie zarówno z interesem pracownika jak i przedsiębiorcy.

Ala czy trzeba jeszcze komuś na świecie tłumaczyć, jak ważną dla społeczeństwa jest sprawa wypoczynku ludzi pracy? Jak cenną jest siła ludzka, jak umiejętnie należy ją konserwować, aby jak najdłużej można było z niej korzystać?

Powie ktoś, że wielki przemysł ma i swoje minusy. że odbiera pracę małemu wytwórcy, że redukuje ilość rąk roboczych potrzebnych w danej gałęzi gospodarstwa. Ale zastanówmy się chwilę, czy to jest rzeczywiste minus. A więc: potrzebną społeczeństwu ilość pewnych produktów wytwarza się dzięki udoskonaleniom technicznym mniejszym wysiłkiem. N. p. ilość potrzebnych w Polsce tkanin otrzymujemy w połowę krótszym czasie niż kilkadziesiąt lat temu, Cieszymy się z tego, bo zostaje nam wobec tego więcej czasu na inne prace, na naukę, na przyjemności i rozrywkę. Trudności zaś, które powstają przy przetwarzaniu produkcji z drobnej na wielko-przemysłową dowodzą tylko, że nie umiemy tej produkcji zorganizować, że wina leży w rozdziale pracy i produktu.

I tutaj oczywiście wiele możemy zarzucić „plutokratom”. W dużej mierze ich to wina, że robotnik pracuje

zbyt długo, odbierając pracę innym, ich winą chcą utrzymania pewnej liczby bezrobotnych dla obniżania płac pracujących, ich winą sztuczne obniżanie (w celach konkurencji i większych zysków) cen towarów kosztem uposażenia najemnika.

Tak! To wszystko są rzeczy, które nie świadczą dobrze o „plutokracji”. ale niech się ona w tym nie różni od małego czy średniego wytwórcy. Tak samo jak on dba o swój zysk, ale bardziej jednak musi się liczyć z pracownikiem, bardziej szanuje jego siły, bardziej dba o jego interesy. Każdy zresztą mały przedsiębiorca marzy o tym, by zakład swój powiększyć, by stać się „plutokratą”.

Nie zamykajmy oczu na istotną rolę wielkiej burżuazji, a nie unikajmy niebezpieczeństw przez chowanie głowy w piasek. Zdajmy sobie jasno sprawę z tego, że w interesie całego społeczeństwa i wszystkich jego członków leży jak największy rozwój przemysłu, który odciąży naszą wieś, posiadającą zbytek rąk ro-

boczych, zmniejszy bezpotrzebną masę drobnomieszczaństwa, żyjącego na skraju nędzy, podniesie ogólną sumę wspólnego dobra społecznego.

Nie zapominajmy również nigdy, że w dotychczasowej praktyce naszego życia gospodarczego najwyższe płace, najlepszą trwałość pracy, najlepsze jej warunki, najpełniejszy wypoczynek, znajdował najemnik w wielkim przemyśle i największym przemyśle.

Jeśli pod terminem „walka z plutokracją” będziemy rozumieli naprawdę zniesienie „plutokracji”, jeśli wyrwemy z jej ręki dyspozycję centrów życia gospodarczego i oddamy je społeczeństwu, będziemy na najwłaściwszej drodze do ogólnego postępu i dobrobytu, ale niech drobnomieszczańskie ideały nie zamacają istotnego obrazu rzeczywistości. Nie u'egajmy hasłom, działającym na nasz bezkrytyczny konserwatyzm i zamykanie do najłatwiejszych rozwiązań.

H. J. J.

Wincenty Drachowski

Ojczyste dzwony

Z łona ziemi słońce wstało,
W krąg posłało świetlne posły,
W złoto — srebro ubierało
Świat, odziany płaszczem wiosny.
Diadem z rosy nanizalo
Na traw-krzewów wonne liście
I jak moczars się wspinało
Ponad szczyty — uroczyście.
Groźną ciszą ziemia dyszy,
Jakby śniła szcęk oręża,
A ukryty w skalnej niszy
Młody żołnierz wzrok wyteża.
Naraz dzwony się ozwały
Z dalekiego hen, kościoła
I po rosie hejnał grały
Niby pieśń z polskiego siola.
Więc na broni wsparłszy głowę,
Żołnierz dumął wśród tej ciszy,

Kiedyż, kiedyż Mocny Boże
Tamte dzwony człek usłyszysz?
Kiedyż po tygodniu znoju
Za ich głosem do świątyni
Zdązał będę znów w spokoju
Barwną drogą — między swymi?
Kiedyż ujrzę kwietne łąny,
Lecz nie obce, ale swoje,
By rzec dumnie: Kraj kochany
Wszystko nasze, — wszystko moje!
Czemuż duch mój uskrzydłony
Nad kordony hen, ulata
A trwać muszę tu stęskniony
Na rozdrożach obcych świata.
A dzwon huczał coraz mocniej
Sercem z spiżu głosił wszędy;
Wrócisz — wrócisz! Bóg Wszechmocny
Do ojczyzny — do ojczyzny!

Roman Makarewicz

Z księgi wychodźstwa polskiego

Jest mała stacja w Brazylii, na linii kolejowej między Visconde de Parnayba i Batatoes, nosząca uderzająco dziwną nazwę w tamtych stronach nazwę — «Brodowski». Przy stacji powstało miasteczko, liczące już dziś 10.000 mieszkańców. Nazwa stacji i osiedla w powodni innych nazw o brzmieniu portugalskim lub indiańskim silniej jeszcze kontrastuje z widokiem palm, spalonej słońcem trawy i lasów eukaliptusowych.

Skąd w interiorze Brazylii — «Brodowski»? A jed-

nak słusznie, bo był sobie taki pan Brodowski; inżynier Aleksander Brodowski w ubiegłym wieku budował pierwszą kolej żelazną właśnie na tej linii, w tym samym czasie, gdy jego rówieśnik Bronisław Rymkiewicz prowadził linię kolejową do portu w Santos. Pan Brodowski stał się prototypem pionierów polskich w Brazylii.

Obok niego mamy jednak cały szereg innych zasłużonych, żeby tylko wymienić nazwiska tak znanych po-

staci, jak Landowskiego — rzeźbiarza i projektodawcy słynnej na cały świat rzeźby Chrystusa na górze Corvocado, prof. Szymańskiego, dr. Kossobuzkiego, jednego z założycieli Uniwersytetu w Kurytybie. Za nimi idzie plejada kolonistów, panów Tadeuszów i Stanisławów, zwyczajem miejscowym nazywanych po imieniu — sennor Tadeu i Estanislau — związanych z ziemią i puszczą brazylijską, a nie tracących jednak łączności choćby tylko uczuciowej z Krajem, z którego wyganiały ich dawniej przesładowania polityczne i niewola, potem brak pracy lub troska o lepsze jutro.

I ci nieznani właśnie tworzą najpiękniejsze może karty niespisanej Księgi Wychodźstwa Polskiego: Jose, Antonio i Ladislau, których nazwiska nikt nie pamięta i nikt nie potrafi wymówić. Wiadomo, że Polacy i że pracują w puszczy lub na roli. Dobrze pracują. Pewien bogaty Brazylijczyk mówił mi raz z przekonaniem, że bardzo lubi Polaków i najchętniej ich zatrudnia na swojej fazendzie. Chociaż sentyment jego polegał na zwykłym wyrachowaniu i na rzeczowej ocenie wydajności pracowników polskich, to jednak z dalszego ciągu rozmowy przekonałem się, że człowiek ten, poznając pracę kolonistów polskich, zaczyna również interesować się ich życiem i co więcej: poznaje sprawy polskie. W ten sposób kolonista, przez rzetelną swoją pracę staje się pierwszorzędnym czynnikiem propagandowym — rzecz, o której zbyt łatwo zdajemy się zapominać. O Toni w słowach prostych i twardych jak ich praca codzienna, urabiają opinię otaczającego środowiska, opinię, która drobnymi strumykami przecieka w obcy teren. Ludzie «z nazwiskiem» rzucają idee i hasła, Jose, Antonio i Ladislau są echem, który te hasła roznosi po interiorze. Oni są żywym wyrazem tego uczucia, które wypływa z dalekiej, coraz bardziej odległej Polski.

W drugim, trzecim pokoleniu zanika wszelką łączność faktyczna z dawną ojczyzną. Ale pozostaje świadomość pochodzenia i pewna duma narodowa, kontuszowa prawie. Prezydent Republiki Costa Rica, Teodor Picardo Michalski podkreśla swoje polskie pochodzenie. Podkreślają je inni, mówiący nieraz zaledwie dwa słowa poprawnie po polsku.

Im głównie zawdzięczamy zrozumienie naszych spraw w tych dalekich krajach. Oni, dzięki znajomości języka miejscowego i mentalności otoczenia, a wychowani w polskich tradycjach, potrafia tłumaczyć nasze problemy w sposób dla ludzi miejscowych jasny i przekonujący. O tym zrozumieniu naszych bolączek niech świadczy drobny przykład z dziedziny terminologii politycznej: w Boliwii, ponad wszystkimi interesami narodowymi, dominuje tęsknota do morza i pewien żal do Chile, którego wiele tysięcy kilometrów wybrzeża morskiego dzieli Boliwię od oceanu. Ten żal tkwi głęboko i wytworzył pewnego rodzaju kompleks w umysłowości Boliwijczyka. I tak w słownictwie hiszpańskim Boliwii powstał nowotwór językowy: «połonización», co oznacza «odcięcie kraju od morza».

Początki wychodźstwa polskiego do Ameryki Łacińskiej przypadają na okres po powstaniu listopadowym. Może najbardziej charakterystyczną postacią tej emigracji jest Ignacy Domeyko, towarzysz Mickiewicza, Zana i Chodźki. Gdy w 1832 roku rząd Chile zwraca się do Uniwersytetu w Paryżu z prośbą o wydelegowanie dobrego fachowca dla uruchomienia projektowanej kopalni w Coquimbo, Domeyko jest najlepszym kandydatem. Zgadza się na wyjazd pod warunkiem wprowadzenia do kontraktu klauzuli, że «skoro Polska mnie

zawoła, umowa jest nieważna». Domeyko rozpoczyna racjonalną eksploatację złóż saletry, źródła przyszłego bogactwa Chile. W roku 1843 rząd Chile ofiarowuje mu w stolicy katedrę chemii i mineralogii. Po 55-ciu latach pełnej chwały dla nowej ojczyzny, Domeyko wraca w strony rodzinne Polska bowiem — jak to porównał Żeromski — ma w sobie nieodpartą moc legendarnej Atlantydy, do której się zawsze powraca.

Tragiczny rezultat powstania 1863 roku kieruje drugą większą falą emigracji polskiej do Ameryki Łacińskiej. Widzimy naszych emigrantów politycznych w otoczeniu Maksymiliana Habsburga w jego nieudanej a popieranej przez Francuzów eskapadzie na tron meksykański. Juarez obala cesarstwo, skazuje na śmierć Maksymiliana, oszczędza jednak Polaków, którym pozostawia zupełną swobodę istnienia w nowych warunkach życia. W tym okresie stosunkowo największy procent emigracji kieruje do Peru, gdzie polscy inżynierowie Malinowski, Miecznowski i Folkierski wstawiają się budową najwyższej linii na świecie, przechodzącej przez szczyty górskie o wysokości 4768 metrów. Emigrant polski, inżynier Edward Habisz jest założycielem Politechniki w Limie, na której wydziale matematycznym wykłada inżynier Władysław Kluger. W Urugwaju odznacza się inżynier Jan Łukasiewicz, dziekan wydziału medycznego Juliusz Jurkowski, chemik Czystowski i pedagog Erazm Bogorja Skotnicki.

Historię emigracji polskiej do Argentyny w okresie 1842-1900 oraz udział Polaków w tworzeniu i rozwoju tej nowej ojczyzny wyczerpująco opracował nasz rodak w Buenos Aires Stanisław Pyzik w niedawno wydanej po hiszpańsku książce «Los Polacos en la Republica Argentina» (Buenos Aires 1944). Z pracy jego widać, jak żmudnie zbierał materiały, by nie tylko scharakteryzować epokę, lecz odpowiednio ją udokumentować. Tym cenniejszą staje się ta książka, której każda strona przynosi fakty i zdarzenia historyczne. P. Pyzik zaznajał czytelników w pierwszym rzędzie z sylwetkami Wielkich Emigrantów. Kawalkadę postaci rozpoczyna Aleksander Colonna Walewski, syn Napoleona i Mme Walewskiej, uczestnik bitew pod Grodnem i Ostrołęką, późniejszy przedstawiciel rządu francuskiego w Buenos Aires. Inny uczestnik powstania listopadowego, dr. Maksymilian Rymarkiewicz, zwalcza skutecznie epidemię żółtej febry w Montevideo i Buenos Aires, której sam w końcu ulega. Teofil Iwanowski jest generałem. Ricardo Starszy pułkownikiem, a Robert Chodasiewicz i Jordan Wysocki podpułkownikami wojsk argentyńskich. Z Polaków wywodzi się inny generał argentyński, don Erique Spika.

Trudno jest przytaczać nazwiska wszystkich. Jest wielką zasługą p. Pyzika, że nie ograniczył się do przedstawienia tylko wybitniejszych postaci, lecz poświęcił dużo miejsca i uwagi emigracji polskiej jako całości i udziałowi jej w życiu politycznym, ekonomicznym i społecznym Republiki Argentyńskiej. Z cytowanych w książce dokumentów z przyjemnością czytamy pochwalne słowa urzędników argentyńskich o naszej emigracji rolnej, która między innymi zaletami odznacza się również «extraordinamente constantes en el trabajo», (nadzwyczajnie wytrwali w pracy). Ale przede wszystkim i ponad wszelką wątpliwość książka p. Pyzika jest wyrazem przywiązania emigracji do dawnej ojczyzny. To też gdy p. Pyzik wręczał swoją pracę na specjalnej audyencji Prezydentowi Republiki Argentyńskiej, Prezydent, dziękując za książkę, oświadczył: «Kto ma ojczyznę, która walczy tak, jak Polska, zadziwiając świat

swym bohaterstwem, winien być z niej dumny. Wiesz Panu, że dla tej ojczyzny zachowuje Pan tak wielki sentyment».

Do Wielkiej Księgi Wychodźstwa Polskiego dochodzi jeden jeszcze rozdział spisany sumiennie przez p. Pyzika. Historia nowej, wojennej emigracji czeka jeszcze swojego dziejopisę. Oby dalsze rozdziały tej Wiel-

kiej Księgi obfitowały w tak piękne postacie, pełne ufności i wiary, jak tej minionej epoki, w której również wszystko wydało się stracone. A jednak, gdy Erazma Skotnickiego zapytał jeden z jego uczniów: «Senor Don Erazmo, gdzie jest Twoja ojczyzna?» — ten odpowiedział: «Chłopcze, moją ojczyznę zobaczysz w historii przeszłości i w historii przyszłości».

ANDRZEJ CHCIUK.

Lwów

Najweselsze miasto ze wszystkich na świecie
i najmilsze ludzie — żebym taki zdrow,
ta co mnie pan buja, ja nie frajer przecież
i całuję rączki i ta-joj — to Lwów.

Uśmiech i piosenka, zaduma i smutek
Deszczowe, ponure i słoneczne dni,
i semper fidelis na herbie wykute —
i tyle radości i tyle łez, krwi.

Tam na każdym kroku wciąż coś Polską krzyczy
gdzie się tylko ruszysz jest historii ślad,
jeśliś Lwów ukochał, to ich nie policzysz —
nie chce też ich zliczyć obcy cały świat.

Na Wysokim Zamku czy na Wschodnich Targach
nawet na Cmentarzu Orłąt pełno bżów —
Smutny cichy uśmiech jawi się na wargach
kiedy dzisiaj myślisz — Lwów.

Niechby politycy poszli tam na cmentarz
gdzie na Pohulance Lwowskie Dzieci śpią,
niechby posłuchali, co tam cisza święta
mówi im. co szepcze ziemia żywna krwi.

Niechby sobie przeszli przez ulice Lwowa
do knajp by zajrzeli, gdzie muzyka rżnie,

tam gdzie są batiary z Gródka, z Łyczakowa
gdzie sicz Szczepków-Tońków ciągle zbiera się.

Niechby pogadali z małym gazeciarem
co to koło George'a: Wiek — wciąż krzyczył — Wiek!
niechby pomówili z doktorem, piekarzem
z radnym i z monterem, no i z Mańką Świerk.

Niechby na jednego poszli do Lintnera
czy do Teliczkowej, czy nawet gdzieśbądź,
niechby się spytali gościa czy kelnera
czy by sobie dali Lwów na grandę wziąć.

Niechby „sy” w pasażu gadali z preclarem
albo ze studentem co to szyby bił,
z sztabakiem i dzieckiem no i z tramwajarem —
który z nich nie powie? : do ostatnich sił...

Który z nich nie powie: Pan na głowę upadł?
Oddać — tak bez sztempu — nasz kochany Lwów?
Kiedy tu batiarni stanie cała kupa
to niech nam nie mówią żadnych mądrych słów!

Pójdziem „sy” z piosenką tą o Cytadeli,
parę manlicherów znajdzie się skądś znów,
żeby zagranicą frajery wiedzieli,
— szkoda „kuźde” słowo — że polski jest Lwów!

OSTATNI TANIEC

...Nagle poczuł jakiś ból w krzyżu. Wózek zachrobiał mu po żebrach, przycisnął go do czarnej ściany, że jasność mława zabłysła mu w oczach — i zemdlał.

Obudził się dopiero w białej sali szpitalnej.

Długie szeregi łóżek, słoneczny uśmiech osiadły na twarzach pielęgniarek i usypiająca cisza, przesycona zapachem karbolu i lekarstw.

Przez wpół otwarte okno dochodziły go z zewnątrz jakieś niezrozumiałe głosy, jakieś szelesty czy śpiewy, i od czasu do czasu wionął orzeźwiający prąd powietrza.

Chłonał oczami wszystko, co odczuwał zmysłami, dziwił się sam sobie i myślał...

Jednakże myśli miał zbyt porwane, chaotyczne i takie jakieś ciężkie, że zapadał gdzieś w nicość pod ich brzmieniem.

Już kilkakrotnie usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i co tutaj porabia, ale za każdym razem, kiedy usiło-

wał rozwiązać trapiącą go zagadkę, czuł się takim osłabionym, takim niedołężnym — że usypiał natychmiast lub wodził mimowoli oczami po białej sali, nic nie widząc.

Biała, nacechowana dobrocią twarz pochylała się nad nim troskliwie, a ukryte gorące oczy zdawały pytać frasośliwie, czy czego nie potrzebuje, — zdawały się pocieszać.

Nawet nie zastanawiał się nad tym, dlaczego ta twarz nachylała się co chwila ku niemu i patrzy z nieutajonym współczuciem. Uważał to za rzecz naturalną.

Uważał wszystko, co było w nim, za naturalne.

Było mu obojętnym — kto przy nim jest, co robi, Czasem tylko jakiś błysk świadomości przebiegał mu młowi, dlaczego się tutaj, a nie gdzieś indziej znajduje. pod czaszką, — coś sobie przypominał, odczuwał, dostrzegał...

Bolało go całe ciało, paliło się, rwało, padało w od-

męty nieprzebyte, że zaciskał jeno zęby, zaciskał pięści, krzywił twarz w jakimś niepojętym bólu, że stawała się siną zupełnie, — a z pól otwartych ust wyrwał się jakiś zduszony krzyk podobny do śmiertelnego rżenia: «Rany boskie... skonom! Rany boskie...»

Ale ściany były głuche, a siostry w białych fartuchach nie nie rozumiały.

— Il est malade. Il est très malade.

Porozumiewały się jeno spojrzeniem i krążyły bezszelustnie między łózkami. Ale patrzył na nie z przerażeniem tylko, gdyż zdawały mu się, jakoby nie były z tego świata.

Sucha, pomarszczona twarz łysogo lekarza — przewijając się, jak ciemna chmura wśród białych obłoków i czyjeś obce ręce dotykały jego rąk i czoła.

Coraz częściej zapadał w półsen, zapominając, co się dokoła niego dzieje i jednocześnie będąc pogrążonym w własnym świecie.

Stawały mu przed oczyma nowe obrazy, które tylko on jeden widział i rozumiał.

...Stąpił wąską dróżką po bardzo stromem zboczu, a nad nim unosiły się wielkie ptaszyska, kracząc przeraźliwie.

Kamienie usuwały mu się z pod nóg i padały w przepaść, dudniąc rozgłośnym echem.

Ale szedł wytrwale, piął się zwycięsko w górę i doszedł do szczytu...

...i powitała go matka, w pasiastej spódnicy, z pełnią radości w zapadniętych oczach.

«Jaśku, a ty skąd tutaj? O Matko najświętsza! Po tylu latach przyszedłeś wreszcie?»

...Idą do chaty czysto białej, siadają za dębowym stołem, na którym pachną kartofle oblane masłem i zsiadłe mleko w misce.

...a wonieją tak te kwiatki w ogródku: żółte, czerwone, białe i inne: ...a dzieciśka się pchają za oknami i pokrzykują tak radośnie; ...a do izby wchodzi: Magda Kowalowa, co to do wszystkich chłopców zęby szczerzy; i Agata od organisty — w nowej, przetykanej kwiatkami bluzce; i Michasia do której się zalecał przecie kiedyś; i Frania z za grobli i Józia i Mania... oj, co dziewczuch!

Wszystkie przyszły zobaczyć, jego, Jaśka, co przyjechał z dalekiego świata, co to w ciemnej kopalni przemęczył tyle lat, wśród obcych ludzi, że zdawało się, że o swoich już zupełnie zapomniał. A oto przyszedł...

— O Jezu, a jedźże, bo kartofle wystygną — mówi matka.

— Kiedy mi się tak pić chce. Nie macie tam co zimnego?

— Patrzenie — mówią dziewczuchy — nauczył się wino pić przy obiedzie. Już mu nie smakują kartofle i mleko kwaśne.

— Jaki to honorny się zrobił. Ani słowa nie powie, ani przywita się po naszymu.

— Ale wygląda jak dziedzic. Gładki i silny, jak dąb.

«Niech se mówią, niech się wygadają. Później zrobię im niespodziankę». Matka głaszcze go po twarzy. Czuję głębiej jej miłe i chłodne dotknięcie.

A ogień mu taki płonie w wnętrzu, taka jakaś niemoc go ogarnia, że...

«To pewnie z radości — że pewnie przybyłem... Dziecię lat się wybierałem, no i wreszcie! To pewnie od tego».

— ...Hej muzyka! Grać!

I porywa pierwszą z brzegu Magdę Kowalową i tańczy po izbie, aż spódniczka furkocze, aż starzy w kącie posuwali, a dziewczuchy gęby rozdziawiły.

— Dziś, jaki się to tancerz zrobił!

— U-cha! — pokrzykują chłopcy, co przyszli.

— Bum-bum! grzmi bęben.

— Tirli-tirli — piszcza skrzypce.

— Cie, cie... — dziwią się baby.

A on na nikogo nie patrzy, do nikogo nie mówi — tylko w jakiejś zaciętości niemej, jakby chciał całą zabił w ciemnej kopalni, na obcej ziemi, radość lat dziecięciu — odtanńczyć, tańczy, że aż drzazgi łecą, że cała chatupa się kręci, że cały świat wiruje mu przed oczyma, że toczy się gdzieś...

— Ale jeszcze raz! Jeszcze raz!

Już serce bić przestaje, już krew toczy się w żyłach wolniej z osłabienia, już tańczy słabiej... Nie słyszy co do niego mówią, nie czuje uścisku Magdy — ale tańczy jeszcze... jeszcze tańczy... tańczy... tańczy...

Umarł.

Polski Emigrant bez nazwiska — na obcym łóżku. w obcym gronie, ale w tanecznym porywie — wśród swoich.

Julian Majcherczyk.

Andrzej CHCIIUK

NASZE POZNANIE

Poznałem Ciebie wieczorem
w hotelu (...Pamiętasz w którym ?...)
Stałem oparty o poręcz
a Ty schodziłaś z kims z góry

I ten ktoś znał nas oboje,
no więc przedstawił nas sobie ---
mówiłaś o wierszu moim
że tak podobał się Tobie.

Słów zwykłych parę i plotek
o tamtym albo o owym
i znów o wierszu i o tym
że w kinach program jest nowy.

Mówiłaś to uśmiechnięta
i ja się śmiałem do Ciebie
lecz nie wiem i nie pamiętam
żeby mnie jakiś dreszcz przebiegł,

Że będziesz czymś dla mnie kiedyś,
że zjedzą się nasze drogi ---
nie przeczuwałem nic wtedy :
patrzyłem na Twoje nogi

Skonstatowałem, żeś ładna,
że miła z Ciebie dziewczyna ---
--- a potem nigdy nie zgadłaś
czemuśmy poszli do kina.

Tak najzwyczajniej to było
(jest takich poznać bez liku)
i ktośby myślał, że miłość
może się zacząć tak znikąd...

ZE WSPOMNIENIEM IMKARZA

Zadowolony jestem z dwóch rzeczy. Najpierw, że wybierając się z Aix-les-Bains do Montceau-les-Mines, by tam objąć obowiązki oficera oświatowego z ramienia Polskiej Y.M.C.A., nie zapomniałem zabrać ze sobą... spodni. Momencik, proszę się nie gorszyć i nie wyobrażać sobie, iż kiedykolwiek, choćby na chwilę, miałem intencję pozbawiać się tej tak nieodzownej, szczególnie dla płci męskiej, części garderoby i wystawić siebie na widok publiczny ku ogólnemu zgorszeniu. O nie, chodzi poprostu o cztery pary spodni góralskich. One to właśnie sprawiły, że mogłem być zadowolony z drugiej rzeczy. Mianowicie, że mogłem w wojskowym oddziale polskim w Montceau-les-Mines zmontować amatorską trupe teatralną i z nią dokonać «artystycznego» tournée po koloniach polskich w okręgu Montceau-les-Mines.

W «zanadrzu» miałem swoje własne wypociny móżgowe, ujęte w trzy akty a zatytułowane: «Jak juhas Jędrak Obertas zdobył miłość Marysi Gąsiorek» czyli «Przeprowadzka przez granicę».

Biedne «ofiary», które złapałem w swe reżyserskie pazury, miały wiele trudności do pokonania. Musiały uporać się z gwarą góralską, nauczyć się śpiewać piosenek, tańczyć «zbojnickiego» i «dreptanego», wykuć role na pamięć, a co najgorsze: znosić gderowatego reżysera, który nie miał zamiaru w żadnym, nawet najdrobniejszym szczególe, «popuścić». Więc też «gnębił» zatroskaną młodzież prawie codziennie przez drugą połowę października i bez mała cały listopad.

Na szczęście zmuszony zostałem do dwukrotnego wyjazdu do oddziału Wojska Polskiego w Marsylii, by tam założyć dwie nowe świetlice Polskiej Y.M.C.A.

Sądziłem, że bardzo musieli się ucieszyć moi mili współpracownicy z tego powodu i niewątpliwie wdychali, by ich «gnębienie» nie powróciło wcale. Jakież było moje zdumienie i radość zarazem, gdy po powrocie jedna z trzech sympatycznych aktorek oświadczyła na mój widok: «Dobrze, że pan powrócił, bo już nam było smutno bez pana». Przyznaję się «bez bicia», że chwyciła mnie za serce tą otwartością. Potem przekonałem się, że mówiła szczerze i nie tylko w swoim imieniu.

Sprawa mi to specjalną przyjemność, bo pracę przygotowawczą kółka amatorskiego uważam za okres życia się wszystkich aktorów, okres, w którym wytwarzają się nici łączności, wspólnoty, wywołanej tym samym u wszystkich zamiłowaniem do sztuki i tym samym wyrobieniem społecznym, wyrażającym się w zbiorowym i skoordynowanym wysiłku dla dobra ogółu.

Tydzień przed wyznaczonym terminem pierwszego występu prawdziwe «urwanie głowy». Jeszcze w tańcu zbojnickim Antek ma za sztywny kregostup, Frankowi, jak na złość, nie chcą się zginać nogi, mimo że twierdzi, iż całą noc je masował, Jędrak pije nieustannie wstrętne lekarские «mikstury», lecz w gardziółku skrzypi, a tu trzeba wykonać solowe partie, z orkiestrą nie możemy się ześpiewać, malarze kompanijni dzień i noc zlepiają słabe, wojenne papiery na dekoracje i klną co nie miara, bo przy nakładaniu farb wszystko się rwie «w drebiegi».

Ale dzień przed wyjazdem wszystko jest «comme il faut».

O dostanie się do miejsca przeznaczenia nie martwimy się wcale. Miejscowy D-ca obozu wojskowego polskiego dał do dyspozycji kamionetkę, a o benzynie do niej łamie sobie głowę p. Jan, szef P.O.W.N. na okręg Montceau-les-Mines, który ze stalową energią i z rzadko spotykanym zapałem zajął się organizacją propagandy naszego widowiska, oraz «dostarczenia» nas do poszczególnych kolonii polskich.

Trochę miejsca jestem zmuszony poświęcić naszej miłej kamionetce. Nieszczęśliwym dla niej zbiegiem okoliczności dostała się ona w nasze «artystyczne» ręce na okres objazdów. Stało się to na skutek «nawalenia» motoru z kamionu naszego oddziału wojskowego. Biedna starowina, o jednym złamanym resorze, przechylona z tego powodu swym przodem filuternie na prawą stronę, niby główką białogłowa, wdzięczyła się w ten sposób do otoczenia ostatnim starczym wysiłkiem woli. Była ona od swych narodzin przeznaczona na przewożenie maksymalnie dwóch istot czworonożnych, z których za dawnych, dobrych, bo przedwojennych czasów, wyrabiano smaczne wieprzowe kiełbaski. A tu tymczasem znienacka zwała się na nią dwanaście ciał «aktorskich», z góry przygniata cała dekoracja, oraz nasz drogocenny beben, wreszcie na kolanach i ramionach pasażerów walizy z rekwizytami i reszta instrumentów muzycznych. To też mściła się starowina na nas, podrzucała, harczała, stawiała. I kto wie, co by było, gdyby nie nasz Jędrak, «chłopak do wszystkiego», który z aktora na scenie, w drodze zamieniał się w szofera. Co ona w lewo, on w prawo i na odmiannę, ona przysiad, on kopniaka w sprzęgło i jedziemy wesoło, po kawalersku, tak «na złamanie karku». Szereg razy koło nawałiło, innym razem motor i trzeba było, by część zmotoryzowanej załogi artystycznej przeszła pieszo kilkanaście kilometrów, a reszta przespala się na szczerym polu, w naszej nowoczesnej limuzynie. Po skończonych objazdach obraziliśmy się wszyscy na niewdzięczną starowinę i postanowiliśmy zerwać z nią kontakt osobisty i wszelkie stosunki towarzyskie.

Jako pierwsza miejscowość, w której nasza trupa żołniersko-ymcarsko-amatorska miała postawić na scenie swe drżące nogi, wybrano kolonię polską, oddległą o 100 km od Montceau-les-Mines, La Machine. Występ odbył się przy wypełnionej po brzegi sali. O powodzeniu świadczy nie tylko ustna opinia, lecz i wycinek z prasy. W «Wolnej Polsce» w opisie uroczystości i programu, czytamy:

«Następnie grupa teatralna z batalionu «Topór» odegrała sztukę góralską p. t. «Jak juhas Jędrak Obertas zdobył miłość Marysi Gąsiorek», czyli «Przeprowadzka przez zieloną granicę», napisaną przez p. Seweryna. Sam autor występował w roli bacy. Cały zespół wywiązał się ze swych ról bardzo dobrze. Na szczególną uwagę zasługują baca, który samego siebie włożył w swą rolę. Jędrak i Marysia pokazali, że dla Polski należy poświęcić wszystko, nawet i swą miłość trzeba złożyć w ofierze umęczonej Ojczyźnie. Reszta amatorów bardzo doceniała swe role i grała bez zarzutu. Sama sztuka

wzięta z życia góralskiego w czasie tej wojny, pokazuje wkład ich w życie podziemne Polski i ofiary, na jakie się narażają».

W tydzień później «najechalismy» Gueugnon, jedną z mniejszych kolonii polskich.

Oto głos prasy. «Wolna Polska» w innym numerze, umieszcza sprawozdanie z tego wieczoru, gdzie czytamy odnośnie do występu naszej trupy:

«Całość robiła bardzo dodatnie wrażenie. Amatorzy i amatorki grali nadzwyczaj dobrze, a śpiewy i taniec góralski wypadły znakomicie. Akademia udała się b. dobrze. Publiczność zadowolona rozehodziła się do domów, po skończonej Akademii w uroczystym nastroju. Z pewnością dzień ten pozostanie na długo w pamięci Polaków w Gueugnon i przyczyni się wiele do rozszerzenia polskości».

W Montceau-les-Mines połączyliśmy nasze przedstawienie z programem obchodu rocznicy Powstania Listopadowego.

Już na drugi dzień, uzbrojeni w nasze ciupagi, dokonaliśmy «generalnego ataku» na kolonię Gautherets, gdzie w pięknej sali «O'impia» w czasie naszego występu, staraliśmy się wyciągnąć z siebie wszystko, co tylko było można, bo pośród audytorium siedzieli również członkowie znanego na całą Francję koła amatorskiego «Wesołość», prowadzonego od lat przez utalentowanego aktora-amatora i reżysera, p. Dudziaka. Wyszliśmy «obrońną ręką» ku radości członków całej trupy.

Na przyszły tydzień zakończyliśmy nasze «tournée» występem w kolonii w Baudras-Essart.

Planowane następne wyjazdy niestety nie mogły być zrealizowane ku zmartwieniu nie tylko kolonii, które się tego domagały, ale również mych współpracowników-żołnierzy i panienek-amateerek. Brakło bowiem rzeczy zasadniczej, to znaczy naszej starowiny-kamionetki, która niegrzecznie odmówiła posłuszeństwa.

W niektórych koloniach, jak np. w Gautherets, Baudras-Essart do naszego programu dołączyły się występy działów szkolnej.

Ma'eństwa urodzone na obczyźnie a jakże cudnie śpiewają, deklamują! Jak czystutko po polsku! To chwyta za serce! Widać polskiego ducha w domu rodzinnym, widać syzyfową pracę nauczycielstwa, które — z przyjemnością to stwierdzam — miałem przyjemność poznać osobiście.

Pisząc te słowa, widzę, jak przesuwają mi się przed

oczami wspomnień sylwetki bez własnego «ja», bo serce i myśli oddane współrodakom. Bo praca nie tylko w szkole, ale i w najrozmaitszych organizacjach, których jest wiele, a na czele P.O.W.N.

Szczupła, wysoka, energiczna, z przedziwnym zapałem do pracy w oczach, postać nauczycielki-harcerki, prawdziwy typ bojowniczk, śpieszy się, nigdy nie ma czasu, bo tu klasa, w tej organizacji zebranie, w innej zbiórka, tam znów próba, potem konferencja z szefem P.O.W.N. w sprawie takich a takich potrzeb jej kolonii i wiele, wiele innych zajęć. Więc śpieszyć się trzeba! Kiedy Ty znajdziesz czas d'a siebie?

Tam również energiczna ręka kobiety prowadzi chór mieszany, doskonale przez nią przygotowany. Płyną harmonijnie i melodyjnie słowa polskiej piosenki ludowej, czy pieśni narodowo-patriotycznej. Pod wpływem czaru pieśni przenosimy się myślami do swoich w kraju i do tych wszystkich, którzy rozrzucony po całym świecie walczą i giną za Kraj lub cierpią w obozach jeńców.

Gdzie indziej wprawne palce wychowawcy, ukrytego za sceną, wtórują do śpiewu działwie. Grający uśmiecha się, bo jego praca przygotowawcza nie poszła na marne.

Ilu też poznałem w swym «tournée artistique» jako stary «baca» góralski, starszych emigrantów, zasłużonych sprawie ojczystej, nie zrażających się przeciwnościami. A ta postać krępa, o twarzy ciemnej, oczach zapadniętych od nadmiaru pracy, obowiązku. Prowadził z niesłychanym zaparciem się siebie i odwagą rzeszę emigrantów-patriotów w tajnej organizacji P.O.W.N. w czasie okupacji, pracuje dalej, twardo, z zapałem.

Z pośród młodych społeczniczek, bojowniczek pracy nad charakterem młodzieży żeńskiej poznałem jedną.

Młoda, przystojna blondynka, pełna wdzięku, hufcowa harcerstwa polskiego na emigracji, po całodziennej pracy zawodowej śpieszy się, więc nie je kolacji, bo chce zdążyć na zbiórkę. «Ja hufcowa miałabym się spóźnić?» Nie spóźniła się! W grono swych podwładnych wprowadziła natychmiast ducha radości, pełni życia, uśmiechu wiary w skuteczność pracy nad sobą i dla innych. Po zbiórce kładzie strudzoną główkę na poduszkę i zasypia, marząc w swej niewinnej główce o czynach d'a kraju, dla Polski. A przecież go nie zna jeszcze! Lecz kocha! Kocha poetycką miłością naszych wielkich i sławnych powieściopisarzy, których dzieła poznała tu, na obczyźnie.

I takich sylwetek jest wiele tu, na emigracji!

Czyż nie warto dorzucić nieco pracy z mojej strony Imkarza? Naprawdę warto!!

Otwarcie klubu Polskiej Y.M.C.A.

Na terenie Paryża dawał się oddawna odczuwać brak jakiegoś lokalu, który byłby ośrodkiem życia towarzyskiego dla Polaków mieszkających w Paryżu, czy przyjezdnych, a w szczególności dla wojskowych wracających z frontu, z niewoli i obozów koncentracyjnych.

Brak jednak lokalu nie pozwalał na wcześniejsze zrealizowanie takiego ośrodka kulturalno-towarzyskiego. Jak trudno o lokal w Paryżu może świadczyć fakt, że

przez kilka miesięcy Biuro Główne Y. M. C. A. gnieździło się w 3-ch małych pokojach przy ul. Taitbout, razem z wszystkimi kursami i maszynami, gdzie tak było ciasno, że jeden musiał drugiemu ustępować miejsca przy biurku, aby coś napisać. Ale to przeszłość. Teraz Biuro Główne ma duży i piękny lokal przy ul. Cardinet, a Kursy rozlokowały się wygodnie przy ul. Leverrier Nr. 4, gdzie też znajduje się Klub Y.M.C.A.

Klub jest bardzo dostatnio i estetycznie urządzony,

czytelnia czasopism i gazet polskich, francuskich i angielskich bogato zaopatrzona; zrobiono wszystko, aby zachęcić do pisania listów; wygodne meble zapraszają do wypoczynku i rozmów; radio, pianino i bufet może uprzyjemniać pobyt; klub dekorują obrazy i rzeźby polskich artystów. Wielka w tym zasługa p. inż. Redy, który poświęcił wiele czasu i trudu, aby już samo urządzenie stwarzało w Klubie miły i rodzinny nastrój.

Uroczystość poświęcenia i otwarcia Klubu odbyła się dnia 17-go kwietnia 1945 r. o godz. 8,30 wieczorem.

Na uroczystość przybyło wiele osób, które mały lokal Klubu z trudem mógł pomieścić. Władze i instytucje polskie w Paryżu reprezentowali p. Aleksander Kawałkowski — Minister pełnomocny, p. pułk. Antoni Szymański — Szef Misji Wojskowej we Francji; Ks. Dr. Augustyn Jakubisiak — Delegat Ministra Oświaty, Bohdan Samborski — Konsul Generalny R. P. w Paryżu, p. Minister Franciszek Pułaski — Delegat Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, p. Józef Jakubowski — Prezes P.C.K. w Paryżu, p. Dr. Poznański — Dyrektor P.A.T. w Paryżu, p. Kowalski — Dyrektor Radia Polskiego w Paryżu.

Do szczególnych gości należała grupa oficerów polskich, którzy niedawno wrócili z niewoli, z 7-ma generałami na czele: W. Czuma, W. Thomme, M. Dabkowski, S. Skwarczyńskim, M. Mackiewiczem, M. Waraksiewiczem, H. Krok-Paszkowskim.

Poświęcenia lokalu dokonał Ks. Prof. Jakubisiak, wygłaszając przemówienie o znaczeniu tego obrzędu, nadmieniając że świetlica należy do jednej z bardzo celowych poczynąń wśród emigracji, poczym życzył Klubowi powodzenia i rozwoju.

Z kolei p. Z. Woydat, Prezes Polskiej Y.M.C.A., zwrócił się w serdecznych słowach do dostojnych gości i nawiązując do działalności Y.M.C.A. podał cele klubu. Oto wyjatki z przemówienia p. Prezesa:

«W okresie okupacji niemieckiej zadaniem Polskiej Y.M.C.A. była opieka nad morale Polaków, utrzymanie ich w należytej postawie w psychicznej walce z onresia i barbarzyństwem niemieckim, przygotowanie do następnego etapu — do walki otwartej i totalnej. Obok zorganizowanego oporu fizycznego z bronią w rękę, polskiej resistance, wspaniałej i ofiarnej — niewątpliwie Polska Y. M. C. A. była w okresie okupacji najczynniejszą organizacją oporu intelektualnego, była organizacją resistance na umyśle, serca i charakteru, którą prowadziliśmy w porozumieniu z szefami oporu zbrojnego konsekwentnie, bez przerwy, mimo pierwszych represyj przeciw YMCA i aresztowań mimo niebezpieczeństw i strat.

Okres wyzwolenia Francji postawił przed Polską YMC-A w tym kraju nowe zadania. Zgodnie ze swą tradycją Polska Y.M.C.A. poszła przede wszystkim do żołnierza polskiego, — organizując świetlice we wszystkich punktach skupień wojskowych polskich. Drugą troską — to praca wśród wielkich rzesz deportowanych, tym trudniejsza, że formy organizacyjne opieki materialnej nad nimi są ciągle zmienne, przystosowując się do napływu tych rzesz i wymagań władz, prowadzących wojnę. Dalsza — to opieka nad młodzieżą polską, t. zw. starsza emigracją, i wreszcie nad naszą rozproszoną organizacyjnie — inteligencją pracującą.

«Na terenie Paryża oddawna przewidziany jest pewien system ognisk: ognisko ściśle wojskowe (koszary Bessieres), ognisko mieszane (w Domu Polskim), świetlica na kursie sanitarnym na Wagram, świetlica

dla deportowanych (koło Etoile lub w barakach Kellermana) i klubu Y.M.C.A.

Jakie są zadania klubu? Jest to niewątpliwie klub towarzyski, który ma skupiać wojsko i społeczeństwo polskie w Paryżu do życia i wypoczynku grupowego. I Polacy z wojska polskiego i z wojsk sojuszniczych, młodzież i inteligencja pracująca — wszyscy powinni znaleźć tutaj coś dla siebie.

Każdy Polak wojskowy i cywilny powinien dostać tutaj przede wszystkim pożyteczne informacje (adresy, rady co do atrakcyj kulturalnych w Paryżu), znaleźć wszystkie gazety polskie i zagraniczne, ilustracje, książki polskie i o Polsce, wygodne miejsce do pisania listów z papierem listowym; przyjemne otoczenie zachęcić go powinno do pogodnych rozmów towarzyskich; urządzane wieczory artystyczne powinny mu dać od czasu do czasu chwilę przeżyć artystycznych, wreszcie skromny bufet (w godzinach podwieczorku i po kolacji) — dać okazję do zaspokojenia potrzeb podniebienia i namiętności palacza».

Jednym słowem wszyscy w klubie powinni znaleźć miłą atmosferę, możliwość widzenia się ze swoimi rodakami, klub więc powinien im zastąpić dawno niewidziany dom rodzinny.

Poszczególne grupy towarzyskie polskich pracowników mogłyby tutaj dawać sobie okresowe rendez-vous, a przyjaciele Francuzi mieć okazję znaleźć swych wypróbowanych przyjaciół-Polaków.

Na najbliższe dni i tygodnie nadzieją naszą — to aby atmosfera tutaj była serdeczna, pogodna, atmosfera wypoczynku oraz wiary głębokiej i nadziei promiennej.

Bo Polska Y.M.C.A. wyznaje jedną i zawsze niezmienną zasadę, że im większe niebezpieczeństwo, im trudniejsza sytuacja, im walka zaciętsza, — tym głębiej sięgać trzeba do krynicy niewyczerpanej ożywczodajnych i wiecznych prawd idei chrześcijańskiej. Bo w walce takiej na śmierć i życie — ani na chwilę nie możemy zapominać, o co walczymy — pod groźbą zezwierzecenia, jak nasi przeciwnicy i wrogowie. Bo walczymy przecież o Wielką Rzecz, o Człowieczeństwo, o Prawdę, Miłość i Sprawiedliwość na tym świecie.

Oddając ten lokal w ręce p. Jodłowskiego i p. Podhoreckiej-Pearson, powierzam go jednocześnie trosce i opiece przede wszystkim moich kolegów imkowych, prosząc ich o pełny i stały wysiłek, aby każdy gość w tym klubie czuł wokół siebie serdeczną sympatię.

A gościom tego klubu, przede wszystkim tym najbliższym: wojskowym, a wśród tych bliskich — tym najdroższym, którzy z niewoli przez tyle lat gorąco przez nas wyglądani, wrócili do wolności, — aby czuli się, niestety na obcej jeszcze ziemi — jak u siebie w domu, w po'skim domu, według staropolskiej zasady: «Gość w dom — Bóg w dom».

W imieniu p. Ambasadora p. minister Kawałkowski złożył YMC-E i klubowi życzenia zbożnej i owocnej pracy dla dobra sprawy, zaznaczając, że gdzie tylko znajdują się trzej Polacy, rozpoczynają akcję organizacyjną i tworzą nową siłę, która pozwala, rozszerzając swe kręgi, pokonywać te trudności, jakie stoją przed Narodem Polskim. Polska Y.M.C.A. od wielu lat daje właśnie przykład swoją działalnością, ile można zdziałać dla dobra Polski dzięki takiej pracy, podporządkowując swoje cele celom ogólnym.

Z kolei p. płk. Szymański złożył w imieniu władz wojskowych podziękowanie i uznanie dla dotychczasowej pracy Polskiej Y.M.C.A. dla wojska na terenie Francji.

Następnie odbyła się część artystyczna wieczoru, w ramach którego p. Janina Grabowska wykonała z wielkim talentem mazurka Wieniawskiego przy akompaniamencie p. Gaillard. Następnie p. Luigi Campoletti odegrał poloneza A-dur Szopena. Na zakończenie p. Stazi Nora odśpiewała dwie piosenki: «Awans dla paniny» i «Maki», zyskując wielki aplauz, zwłaszcza

wśród wojskowych, dzięki swemu głosowi i wdzięcznej gestyce.

Przy lampce wina «wrześniowcy» opowiadali o swoich przeżyciach i latach niewoli, inaugurując dobrze to pierwsze zebranie towarzyskie rozmowami o Polsce, do której wybiega tęskna myśl Polaków na emigracji.

Kar.

Z cyklu odczytów Polskiej Y.M.C.A. w Paryżu

Ustroje demokratyczne.

Wygłaszając powyższy odczyt, p. Dr. Ludwik Frendel podjął się trudnego zadania. Kwestia bowiem ustroju demokratycznego należy do jednej z najtrudniejszych, ale i też do najbardziej żywotnych.

Wystarczy sobie uświadomić, że obecna wojna m. in. powodami, jest wojną ideologiczną, totalizmów przeciwko demokracjom. Tak przynajmniej zarysował się układ sił w r. 1940.

Dziś każdy stawia sobie pytanie, czym że jest właściwie demokracja, względnie czym charakteryzują się rządy demokratyczne, które przecież odbiegły od klasycznych teorii XIX w. Stany bowiem Zjednoczone, ten kraj par excellence demokratyczny, już od 10 lat prowadzi politykę ekonomiczną, zwaną «dirigisme», a w obronie wspólnych ideałów demokratycznych obok Anglii i Stanów Zjednoczonych walczy i Z.S.R.R., zaliczany, ze względu na swój ustrój dyktatorski, do krajów totalnych.

Nie należy jednak zapominać, że pojęcie demokracja należy do zagadnienia ustrojowego, a jej odpowiednikiem w dziedzinie gospodarczej jest liberalizm. To są jednak dwie różne rzeczy, dwie różne doktryny: jedna polityczna, druga ekonomiczna, choć w pewnym stopniu powiązane ze sobą. W formie jednak rządów monarchicznych może istnieć liberalizm, jak również w ustrojach demokratycznych można prowadzić politykę etatystyczną, reglamentacyj i planowania. Natomiast w ustroju demo-liberalnym znajdujemy kombinacje tych dwóch doktryn.

P. Dr. Frendel zajmował się tylko problemem ustrojowym. W swoich rozważaniach nad demokracjami doszedł do wniosku, że ustrój demokratyczny jest ustrójem idealnym i najlepszym rozwiązaniem problemu rządzenia państwem.

Dla uzasadnienia tej tezy prelegent sięgnął aż do źródeł demokracji.

Najstarszym systemem demokratycznym był ustrój Anglii, który wytworzył się drogą ewolucji z dawnej rady przybocznej powoływanej przez króla i hrabstwa, będącego właściwie małym społeczeństwem, obejmującym wszystkie stany. Cechą charakterystyczną tego ustroju demokratycznego z królem na czele jest to, że ten uważany jest jako symbol widoczny władzy narodu. To też nawet opozycja jest opozycją J. K. Mości, spełniającą rolę krytyki. Zresztą parlamentaryzm angielski cechuje istnienie wielkich partii, działających wszakże z dużym umiarem. Anglia to ojczyzna praworządności państwowej.

Alé mówiąc o ustroju angielskim, najciekawsze jest to, że gdy dziś prawie wszystkie państwa posiadają konstytucję pisaną, Anglia — kolebka demokracji i pośrednio konstytucjonalizmu, nie ma takiej konstytucji.

tucji. Prawo więc konstytucyjne angielskie opiera się, poza kilkoma aktami oddzielnymi, na prawie zwyczajowym i na prawie powszechnym.

Mimo to, nigdzie tak jak w Anglii nie jest wyrobione poczucie prawne, poszanowanie i zrozumienie dla prawa i wolności. Wolność słowa, wolność zgromadzeń nigdzie nie jest tak kompe'tna, jak w Anglii; jednak Anglicy umieją nie nadużywać tych praw wolnościowych, bo u nich jest głęboko zakorzenione przekonanie, że celem prawa jak i wolności jest nie tylko dobro jednostki ale i Państwa.

Natomiast w przeciwieństwie do Anglii, system we Francji, stworzony przez ideologię Rewolucji Francuskiej i Deklarację Praw Człowieka, okazał wielką zmienność: od r. 1789 do 1940 było jedenaście konstytucyj. Również częste zmiany rządu wykazują słabość konstytucjonalizmu francuskiego, którego podstawowymi zasadami są następujące cechy: suwerenność narodu, monteskiuszowski podział władz, rządy parlamentarne, będące wynikiem układu sił politycznych w parlamencie i porozumienia między partiami.

System więc taki nie okazał się zadowalającym, zresztą, merytorycznie biorąc, podstawą jego jest liczba. Na większości opiera się cały system rządzenia państwem. Stąd powstaje pytanie, czy jest rzeczą słuszną, aby nieraz minima różnica jednego głosu decydowała o rozstrzygnięciach w przestrzeni państwowej. Dlaczego rację ma mieć połowa plus jeden, a nie połowa minus jeden?

Następnie prelegent omówił zasadę ustroju Stanów Zjednoczonych Am. Półn., opartego na systemie rozdziału władz, z silną władzą Prezydenta Stanów, posiadającego nawet prawo weta zawieszającego postanowienia Kongresu. Rząd jest tylko przed nim odpowiedzialny, a odpowiedzialność przed parlamentem jest tylko karna. System ten okazał wiele słabych stron, nawet, groźnych dla dobrego funkcjonowania administracji państwowej, n. p. ze zmianą partii rządzącej — zmiana wszystkich urzędników. To też w Ameryce jest silny prąd do ulepszeń systemu prawnego federacyjnego.

Z kolei p. dr. Frendel zajął się ustrojem Polski. Pewne cechy demokratyczności można odnaleźć w ustroju polskim już od zarania dziejów. Następnie ustawy Neminem captivabimus i Nihil novi były zaczątkiem polskiego parlamentaryzmu. Nie było rzeczą przypadkową, że Polska była Rzeczpospolitą. Zasada suwerenności Narodu silnie tkwiła w przekonaniu Polaków, a znalazła swój wyraz, zwłaszcza w elekcji królów i dyktowaniu warunków zawartych w Pacta conventa.

Konstytucja 3-go Maja, która jest znana raczej tylko z obchodów niż ze swej treści, była pierwszą pisaną konstytucją w Europie, jednak mniej demokratyczna.

aniżeli francuska, bo nie wprowadziła powszechnych praw politycznych.

Najbardziej demokratyczna była konstytucja marowa, nawet bardziej aniżeli jej wzór — konstytucja francuska.

Konstytucja kwietniowa, choć właściwie zerwała z podziałem władz, jest jednak demokratyczna, bo władze pochodzą z wyboru i rząd jest odpowiedzialny przed Sejmem.

Po podaniu zasadniczych cech ustroju demokratycz-

nego (jak suwerenność narodu, referendum ludowe, odpowiedzialność rządu przed parlamentem oraz wolności obywatelskie i niezawisłość sądów), p. dr. Fren del naszkicował, jak wyobraża sobie idealny ustrój, tj. taki, który zapewnia wolności jednostce i siłę państwu.

Rola państwa ma być twórcza i aktywna w życiu społecznym, a jednostce trzeba dać odpowiednie wychowanie społeczne, aby miała zrozumienie dla interesu ogólnego i dla celu państwa.

En marge du principe de contradiction

W Paryżu stosunki kulturalne między Polakami i Francuzami są dość ożywione. Niema! każdego tygodnia jest jakieś zebranie w Bibliotece Polskiej, na które są zapraszani Francuzi, albo nawet urządzane przez nich samych, w szczególności pod egidą Towarzystwa France-Pologne.

Za stołem prezydjalnym zasiadają często znane osobistości francuskie jak Mr. Jerome Martin, prezes l'Institut de France, Mr. Charpentier, Batonnier.

Odczyt ks. Dra Augustyna Jakubisiaka, urządzony staraniem Towarzystwa France-Pologne, odbył się pod przewodnictwem J. E. ks. Arcybiskupa Sufragana R. Beaussart.

Odczytem swym sprawił ks. A. Jakubisiak nie małą niespodziankę swym słuchaczom. Tytuł bowiem odczytu: En marge du principe de contradiction — zapowiadał wywody na temat najbardziej ogólnej i oderwanej zaasdy myśli, jaką jest zasada sprzeczności. Tymczasem prelegent wykazał, że zasada ta jest nie tylko niezbędną dla logiki, ale że jest ona nie mniej ważną dla moralności i wogóle dla życia praktycznego.

A jednak mimo całą swą ważność i doniosłość, zasada sprzeczności miała i ma poważnych kontradycjentów z pośród filozofów. Wykazał to ks. Jakubisiak, wskazując w szczególności na dwa prądy filozoficzne, przeciwnie powyższej zasadzie. Pierwszy z tych prądów pochodzi od Parmenidesa, a w naszych czasach miał swego przedstawiciela w Emilu Meyersonie. Zasada sprzeczności jest tu negowana w imię zasady tożsamości, domagającej się jakoby sprowadzenia wszystkich rzeczy do jedności. Przedstawicielami drugiego prądu, jeszcze bardziej wrogiemu zasadzie sprzeczności są Jakób Boehme i Hegel. Boehme, jak wiadomo, poczytywał istotę Boga za sprzeczną, bo godzącą w sobie tak przeciwne i wykluczające się elementy jak światło i ciemność, niebo i piekło, dobro i zło. Takie pojęcie Boga jest pogwałceniem zasady sprzeczności.

Zasadę tę gwałci również Hegel, głosząc jedność, identyczność myśli i bytu, a zatem jedność wszystkiego co istnieje. Jedność tę, zdaniem Hegla, ujawnia dialektyka myśli i bytu. W procesie dialektyki, czyli w następstwie tezy, antytezy i syntezy, wszystko się dokonuje i łączy w jedno w nieustannym gwałceniu zasady sprzeczności. Przez dialektykę tłumaczy Hegel genezę i naturę rzeczy, które powstają ze związu przeciwieństw. By sprawdzić słuszność tego twierdzenia ks. Jakubisiak stosuje je do genezy jednostki ludzkiej. Okazuje się jednak, że dialektyka nie tylko nie wyjaśnia powstania jednostki ludzkiej, ale że nie jest w stanie wytłumaczyć genezy najelementarniejszego ustroju organicznego jakim jest ameba.

Nie przeszkadza to w niczym, że system Hegla ma do dziś dnia gorących zwolenników, zwłaszcza w Rosji sowieckiej. Dialektyka tłumaczona materia istycznie jest tam obecnie jedyną filozofią dozwoloną i oficjalnie wykładaną. Wszystko, czego dokonał przewrót bolszewicki w Rosji, i czego chce jeszcze dokonać w świecie, wszystko to tłumaczone jest jako następstwo panowania dialektyki.

Nie rozwodząc się szerzej nad tą doktryną, ks. Jakubisiak wykazuje w swym odczycie jedną niekonsekwencję. Skoro wierzy się, że dialektyka jest podstawowym prawem myśli i bytu, to znaczy, że wszystko podlega nieustannemu następstwu tezy, antytezy i syntezy, to nie ma żadnej racji twierdzić, że to wieczne prawo zatrzyma się ostatecznie na triumfie klasy robotniczej. Porządek świata stworzony przez rewolucję komunistyczną musi ustąpić innemu porządkowi, stworzonemu przez inną rewolucję, o czym przemienia propaganda tego ruchu.

Zamiast godzić przeciwieństwa, dialektyka pogłębia je i wytwarza przez to samo jeszcze większy chaos w świecie. Pogwałcenie zasady sprzeczności pociąga za sobą jak najgorsze konsekwencje moralne i socjalne. Zdaniem ks. Jakubisiaka zasada ta gwałcona była jak nigdy dotąd podczas obecnej wojny totalnej. Charakterystyczny bowiem dla niej zamach na jednostkę i jej wolność dokonany był wbrew tej zasadzie, z której wynika, że każdy człowiek ma prawo i obowiązek być sobą i nikomu pod żadnym pozorem nie wolno jest go tego prawa pozbawiać.

A czy życie nie wymaga od nas, żebyśmy rezygnowali z naszych praw na rzecz innych osób? Rezygnacja taka — to kompromis. Czy zasada sprzeczności nie dopuszcza żadnych kompromisów? Odpowiedź swą na to pytanie wyraża autor w następujących zasadach:

Kompromisy są dozwolone, niekiedy nawet wskazane moralnie, o ile nie wymagają od jednostek lub państw ustępstw istotnych. Istotnymi dla jednostki są te ustępstwa, które zmuszają ją do rezygnacji z tego, czym jest i czym być powinna. Istotnymi dla Państwa są te ustępstwa, które zmuszają je do wyrzeczenia się siebie, swej roli w świecie, tak jak mu ją dyktuje jego racja stanu. Wyrzec się swej racji stanu jest, zdaniem ks. Jakubisiaka, — przestać istnieć.

Gdyby wszystkie konflikty między ludźmi miały podłoże ekonomiczne, to znaczy interesów materialnych, jak to niepoprawnie twierdzą komuniści, załagodzenie ich nie byłoby rzeczą trudną. Wystarczyłoby do tego kompromisy. Istnieją jednak konflikty zasadnicze między ludźmi. Pochodzą one, jak to wykazuje ks. Jakubisiak, z najgłębszych dążeń jednostek, z postawy ich indywidualnej woli, zmierzającej w kierunku obranego

przez się celu. W takich konfliktach kompromisy do niczego nie prowadzą, są bowiem całkowitą abdykacją jednej strony na rzecz drugiej. Załagodzić takich konfliktów nie można, są one bowiem, zdaniem prelegenta, oparte na najgłębszej jaka istnieje antynomii światła i ciemności, o ile się ją ujmuje pod kątem intelektualnym, dobra zaś i zła, o ile się ją bierze w znaczeniu moralnym. Antynomia ta jest najpełniejszym wyrazem zasady sprzeczności.

Bardzo licznie zebrani słuchacze potwierdzili huczny-

mi oklaskami, że zrozumieć dobrze sens moralny tego odczytu. I jeżeli dla braku przygotowania nie wszyscy mogli od razu uchwycić filozoficzne wywody ks. Jakubisiaka, to w każdym razie tę przynajmniej pojęli prawdę, że życie znajduje swój odpowiednik w filozofii. To zaś co nieraz w życiu przez pewien czas może uchodzić za prawdę, filozofia i logika nie dają się zwodzić i wykazują od razu fałsz i kłamstwo. W tym właśnie leży wielka wartość filozofii i filozofów, że od razu potrafią odróżnić kłamstwo od prawdy.

KAR.

Miedzy nami

* * *

W tych dniach odwiedził p. Prezesa Woydata w Biurze Głównym Polskiej YMCA w Paryżu p. Admirał Józef Unrug, który przyjechał po pięcioletniej przeszłości niewoli niemieckiej do Francji. P. Unrug jest już drugim na terenie Francji członkiem Rady Krajowej Polskiej YMCA. Poczytywał on sobie za pierwszy obowiązek w stosunku do kolegów którzy zostali jeszcze w Niemczech — by pierwszą wogóle wizytę na terenie Francji złożyć w YMCA w sprawie założenia Ognisk wśród b. jeńców w Niemczech, gdzie polscy imkarze już zaczęli we własnym zakresie organizować placówki YMCA, ale ich praca została zahamowana dla braku materiału i sprzętu niezbędnego dla świetlic.

Z internatu Polskiej Y.M.C.A. w Nimes

MŁODZIEŻ POLSKA I JEJ POSTAWA NA EMIGRACJI

Długie lata wojny wyrwały na wszystkich społeczeństwach, na wszystkich narodach i ugrupowaniach głębokie piętno. W szeregach emigracji polskiej we Francji przewroty wojenne również odbiły się głośnie echem, zwłaszcza wśród młodzieży. Na wieść o walkach w Polsce, o burzeniu miast polskich, o mordowaniu polskich kobiet i dzieci, jak niemniej o bohaterstkich walkach żołnierzy polskich, młodzież, która przedtem w niektórych wypadkach niewiele słyszała i wiedziała o Polsce, która nawet z czasem pod wpływem obcego środowiska, nie śmiała się jeszcze przyznać do swej narodowości, boć zewsząd mówiono jej przecie, że Francja jest ośrodkiem kultury świata, że żaden z innych narodów nie może się z nią porównać — ta młodzież poczuła że jest częścią składową tego narodu, który tam, na wschodzie walczył do upadłego o swą niepodległość i pełną wolność. — Świadomość ta napęłała ją dumą i w krótkim czasie nietylko, że nie było młodzieńca, który wstydziłby się przyznać że jest Polakiem, lecz przeciwnie — wszyscy podkreślali to przy każdej okazji. — Później przyszła klęska francuska i młodzież emigracyjna przekonała się, że naród polski nie jest w niczem gorszy od francuskiego.

Obok tych przemian następowały również i inne. Młody emigrant, który często narówni z młodzieżą francuską walczył przeciw okupantowi, aby swobodzić Francję, w coraz silniejszym stopniu czuł się gospodarzem w kraju, gdzie jego rodzice spędzili większą część swego ciężkiego, pracowitego życia, a do którego rozkwitu gospodarczego przyczynili się w znacz-

nej mierze. — Już teraz pewnym jest, że po zakończeniu wojny i ułożeniu się stosunków międzynarodowych, nie wszyscy Polacy z Francji powrócą do kraju. — Część, może nawet dosyć znaczna, pozostanie we Francji. Emigranci ci osiedlą się na stałe i w krótkim czasie, tak jak mamy polskich Amerykanów, będziemy mieli polskich Francuzów. Miejmy jednak nadzieję, że nie będą to już wyłącznie górnicy i robotnicy jak dotychczas, ale że wytworzy się również własna inteligencja i że Polak będzie miał naprawdę te same prawa i te same możliwości kształcenia się co i Francuz.

Państwo polskie już teraz pomaga naszemu społeczeństwu we Francji w płodzeniu swej własnej inteligencji. — Rozumie ono dobrze, że emigracja ta, zajmując wyższe szczeble we francuskiej hierarchii społecznej, będzie mogła przynieść większe usługi krajowi swego pochodzenia. — Aby jednak być dla Polski pożytecznymi, emigranci muszą zachować język ojczysty, obyczaje, tradycje i swe własne narodowe organizacje. — Wszystko to są projekty na najbliższą przyszłość, na okres powojenny. — Tymczasem teraz już emigranci a szczególnie jej młodzież może służyć sprawie polskiej przez zajęcie czynnej postawy w prostowaniu opinii o Polakach i Polsce. Powinniśmy wpływać na nasze najbliższe otoczenie — młodsze i starsze — społeczeństwa francuskiego, aby je nietylko przekonać o naszych prawach do życia wogóle, ale i do pewnych równouprawnień tu na ziemi francuskiej; a z drugiej strony do pozytywnego stosunku Francuzów do Polaków, którzy tak jak oni, a czasem, jeśli chodzi o ofiary potu i krwi, nawet więcej, są równowartościowi i godni poszanowania. — Oczywiście, aby ten sukces odnieść, trzeba iść z wiarą i wytrwale, walczyć każdego dnia o opinię poszczególnych, najprostszych nawet jednostek, a z drugiej strony okazywać jak najlepsze cechy naszego polskiego charakteru, jak: pracowitość, ofiarność, roztropność, jasność sądów i wysoki poziom moralny.

Z tem nastawieniem winniśmy wyjść ze szkoły i realizować te wyliczne w późniejszym naszym życiu samodzielnym.

Jeden z wychowanków internatu YMCA.

WYJAŚNIENIE

W numerze 7 (15) «Razem» na str. 21 w sprawozdaniu z otwarcia Wyższego Studium Polskiego w Paryżu opuszczono w podanym spisie wykładów Studium b. ważne wykłady p. dr. Ludwika Frendla: Zasady polskiego prawa cywilnego i handlowego, co zniekształciło obraz całego Studium i mogło wywołać niewłaściwe komentarze o celowości Studium i zapobiegliwości kierownictwa.

W SICARDOUX

W dniach 12, 13 i 14 kwietnia odbyły się na Kursach Rolniczych Polskiej Y.M.C.A. dla młodzieży osadniczej w Sicardoux (Haute-Garonne) egzaminy końcowe dla uczestników. Komisja Egzaminacyjna pod przewodnictwem p. inż. W. Łabanowskiego przeprowadziła egzaminy w myśl wytycznych Polskiej Y.M.C.A. — zwracając uwagę nie tylko na wiedzę fachową ale i wiedzę o Polsce, zachowanie się uczniów podczas całego kursu i ich wyrobienie społeczne.

Egzamin ustny rozpoczął się dnia 14 kwietnia b. r. o godzinie 9-tej i trwał do godz. 13-tej.

Po egzaminie ustnym Komisja Egzaminacyjna przegladnęła i wyznaczyła noty wypracowań egzaminu pisemnego, który odbył się dnia 12 i 13 kwietnia, na następujące tematy:

Rolnictwo, II. Temat obowiązkowy: Uprawa, nawożenie i pielęgnacja roślin pastewnych; II. Tematy do wyboru: a) choroby zbóż i ich zwalczanie, b) Gleba, jej składniki, typy.

Hodowla: I. Temat obowiązkowy: Opisać krowę mleczną i racjonalne żywienie; II. Tematy do wyboru: a) Wymienić i opisać typy świń; b) Jak powinna wyglądać obora i jak ją utrzymywać.

Winorośl; sadownictwo, warzywnictwo, chemia rolna: I. Temat obowiązkowy: Pielęgnacja i nawożenie winorośli; II. Tematy do wyboru: a) Uprawa warzyw dla liści, b) Rozmnażanie drzew owocowych, c) Konserwacja obornika i nawożenie nim.

Nagrodę «Nouveau Traite d'Agriculture fruitiere» za najlepszy wynik egzaminu końcowego, Komisja Egzaminacyjna uchwaliła przydzielić Fr. Dulewskiemu.



— Ze względu na trudności techniczne nie możemy w niniejszym numerze zamieścić reportażu fotograficznego z ostatniego objazdu. Ukaże się on w numerze następnym.

— Opóźnienie w ukazaniu się numeru niniejszego zostało spowodowane faktem, że cały zespół redakcyjny brał udział w ekipie zakładającej ogniska na terenie Wschodniej Francji.



WEZWANIE DO WSPÓŁPRACY

W związku z nieustannym rozwojem akcji — Polska YMCA ciągle potrzebuje nowych ludzi. Chodzi przede wszystkim o osoby dobrze znające pracę kulturalno-oświatową, — organizację świetlic i życia zbiorowego, wieczorów artystycznych, chórów, zespołów muzycznych, życia sportowego i t. p. — Ponadto Polska YMCA chętnie zatrudni parę osób władających płynnie językiem angielskim, doświadczonych w sprawach biurowych i organizacyjnych. — Wszyscy kandydaci winni posiadać przynajmniej średnie wykształcenie ogólne.

Najważniejszą jednakowoż kwalifikacją ogólną — to ich nastawienie moralne, wewnętrzne, — ich gotowość i ochota do pracy społecznej, poczucie obowiązku i łatwość podejścia do ludzi skołatanych i wyczerpanych — i umiejętność stworzenia wokół siebie atmosfery przyjemnej i pogodnej.

Do tak pojętej współpracy Polska YMCA zaprasza wszystkich ludzi dobrej woli.

BIURO GŁÓWNE:

47, rue Cardinet, Paris XVII, métro: Wagram
Tel.: WAG 65-39.

KURSY KORESPONDENCYJNE:

4, rue Leverrier, Paris VI, métro: Vavin
Tel.: ODE 72-15.

KANTYNA I ŚWIETLICA:

Casernes Bessières, Bd. Bessieres, Paris XVII.
Métro: St. Ouen. Tel.: MAR 35-13.

KLUB POLSKIEJ Y.M.C.A.:

4, rue Leverrier, Paris VI, métro: Vavin
Tel.: ODE 72-15.

*Życie
polskiego*

Pierwsze po oswobodzeniu Francji Święta Wielkiejnoy przyniosły Polonii paryskiej miły wieczór rewiowy, zorganizowany przez obóz W. P. Nr. 2 w Paryżu. Nic więc dziwnego, iż olbrzymią i piękną salą «Maison du Peuple» wypełnili po brzegi ci wszyscy, którzy pragnęli odetchnąć w atmosferze polskiej muzyki, tańca i humoru.

Wieczór rozpoczął orkiestra wojskowa pod batutą niezmordowanego mjr. Szrajera. Drugi jej już występ wykazał, że praca zespołu idzie dobrze, a zgranie jest coraz lepsze.

Pani Karnicka, śpiewaczka opery warszawskiej i Opera zmordowanego mjr. Schreiera. Drugi jej już występ wykazał, że praca zespołu idzie dobrze, a zgranie jest coraz lepsze.

Występ wojskowego chóru rewelersów z dyrygentem p. Jodłowskim na czele wprowadził na widownię nutę melancholii — zwłaszcza śpiewając piękne tango marynarskie.

Para doskonałych tancerzy pp. Matlińskich swymi pełnymi ognia i techniki tańcami — mazurem i polką — ożywiła publiczność do tego stopnia, że niejeden z naszych wiarusów nie mógł usiedzieć na miejscu, bo miał ochotę, tak jak i oni, tupnąć podkówką i zakręcić skoczną poleczkę.

Z kolei p. Ryszard Fabiński, młody i utalentowany śpiewak operowy, pięknym, silnym i głębokim barytonem zdumiał wszystkich. Jego pierwszy popis na scenie paryskiej uwieńczony został prawdziwym sukcesem.

Występ p. Hanki Kundegórskiej, (znanej już z objazdów w trupie artystycznej Polskiej Y.M.C.A. po obozach wojskowych na południu Francji), tchnął młodością, wdziękiem, dużym zacięciem artystycznym i szeroką skalą talentu. Miły głos w piosenkach, uczucie i doskonała interpretacja w recytacji, werwa w tańcu, zapowiadają przy odpowiednim pokierowaniu i przeszkoleniu — poważne możliwości.

Wspomnieć także należy o dr. Saleckim, który swym humorystycznym monologiem rozbawił salę. Wieczór tradycyjnie zakończyli harcerze skocznym krakowiakiem.

Szkoda tylko, że słaba była konferensjerka, że sala piękna i olbrzymia była zupełnie nieakustyczna, wreszcie, że kilku z zapowiadzianych artystów w ostatniej chwili zawiodło, bo wieczór w sumie miły, pogodny i udany, mógł się zakończyć prawdziwym sukcesem tak artystycznym jak i organizacyjnym.

Wład.

CONISH SONG

Po drogach kornwalijskich wędrował raz włóczęga,
wystawał pod drzewami, przysiadł się na łęgach;
choć drogi szmat przewalił, mil jeszcze miał bez liku,
a flet niósł za pazuchą i grywał na fleciuku.

„Kształt jabłka czuję w dłoni, jabłonko, czy dziewczyno!
Raz ust mi przychyliłaś --- i wiem, co mocne wino,
lawendą zapachniałaś, masz oczy, jak jej kwiecie ---
i tylko mi lawendy szukać po tym świecie.

Z przydrożnej kwietnej smugi modrzeje twe spojrzenie.
Nie lepiej mi przy drodze położyć się kamieniem?
Rozstuka się w nim serce, gdy pośród rówieśniczek
idąca, na kamieniu przyporęsz swój trzewiczek...”

Daleko jest Kornwalia, lecz piosnka dalej sięga:
nie przeszedł całej drogi i skąpił gdzieś włóczęga;
gdy w ziemię go wklepali, złożywszy cztery deski,
zapachniał i zamodrzał dookoła kwiat niebieski.

Mazurska pieśń ludowa w Prusach Wschodnich

Lud mazurski posiada niezwykle bogactwo pieśni — od poważnych kościelnych hymnów do lekkich, dowcipnych, nieco rubasznych a jędrnych i soczystych. Wiele tych pieśni, zasłyszanych z ust ludu, spisano. Tuż przed stu laty czynił to niezapomniany, zasłużony, umiłowany przez lud duszpasterz Herman Marcin Gustaw Gizewiusz, który wiele lat pracował w Elku, potem w Ostródzie, gdzie zmarł przedwcześnie, sterany pracą. Zbiór pieśni mazurskich (bez nut) ogłosił przed pół wiekiem znakomity uczony mazurski, prof. Wojciech Kętrzyński. Wydawnictwa te jednak nie były przeznaczone dla ludu mazurskiego, dla młodych pokoleń, które by się uczyć mogły tego, co im w spuściźnie po przodkach zostało.

W ciągu całych pokoleń pieśniami narodowymi Mazurów stały się niektóre pieśni kościelne, zawarte w „Kancjonale” mazurskim, do dziś używanym a opracowanym przed 200 laty przez duszpasterza niborskiego, Jerzego Wasiańskiego, rodem z pod Dąbrówna. Z jakim rozrzewnieniem śpiewają staruszkowie nasi „Chto da działkom swym w nauce wychowanie, to lepsi, niżby zbierał skarby na nie”, albo „Po’a już białe, kłósy się kłaniają. Stworzycielowi ceść i chwałę dają”.

Mazurów cechuje głębokie, serdeczne umiłowanie śpiewu chóralnego i wielkie ukochanie pieśni. Toteż, mimo wyparcia pieśni ojczystej Mazurów, nie zgasła ona jeszcze. I niejedna gróзка, niejeden dziadek usi-

luje wpoić we wnuka, czy wnuczkę, to zamiłowanie.

Gdzie niegdzie jeszcze usłyszeć można piosenkę weselną „O mój wzionuszek lewandowy, nie opadajże z moi głowy”, albo „Żałośnie dziewczyna płakała, kiedy swój wzionuszek tyrała”. Spotyka się jeszcze na Mazurach ludzi, którzy śpiewają piosenki, śpiewane w całej Polsce, jako to „Chtórendy Jasiu pojedziesz”, „Z tamtej strony jeziora stoi lipa zielona”, „Siedzi zając pod miedzo” albo „Zielony dzban” i inne.

Twarda dola ludu mazurskiego przebiega w piosenkach rzewnych, wyciskających łzy słuchaczom. Są jednak i czyste piosenki, świadczące o wesołości i ochocie życiowej ludu mazurskiego. Mimo ciężkiej nieraz doli, Mazur umiał zrzucić z siebie smutek i tęsknotę, zapomnieć, śpiewać i tańczyć z taką ochotą, że dziewczęta pasiastymi namarszczonymi kitylami u pułapu światła gasiły, a chłopakom skry sypały się z podkówek. „Tańcował Kuba i jego luba — kopsasa!” (Takie tańczące i śpiewające pary uwieczniano na starych taflach pieców mazurskich z przed stu lat).

A jakie głębokie umiłowanie ziemi, lasów i jezior przebiega w „hymnie mazurskim”, którego każda zwrotka kończy się słowami: „Ojczyzna to nasa, te wody i las — niech żyjo Mazurzy, ten kraj pełen kras”.

„Ojczysta mowa, zbudź się na nowo, ojców mowy, ojców wziary, niechaj broni młody, stary...” — śpiewa stary nauczyciel Brzeszczyński.

Sport jako czynnik wychowawczy

Wszystkie otaczające nas zjawiska fizyczne i społeczne mają swoje dzieje — swą historię. Nic nie powstaje z nagle. Również i sport, jako fakt społeczny podlegał rozmaitym stadiom rozwojowym. Ma więc sport swoje dni triumfu, upadku i znów powolnego rozkwitu, jaki obserwujemy w ostatnich czasach.

Starożytni Grecy i Rzymianie rozumieli dobrze znaczenie ćwiczeń cielesnych. Ale oba te narody pojmowały je odmiennie. Grek z natury wesoły i beztroski, szukał w sporcie raczej momentów emocjonalnych; ponury i konserwatywny Rzymianin podchodził doń od strony utylitarnej. Wiedział bowiem, że na polu walki zwycięża ten, kto jest silniejszy i zręczniejszy.

Z upadkiem tych państw urywają się dzieje wychowywania fizycznego.

Ascetyczne średniowiecze przechodzi do absurdu negacji materii; nie rozumiało ono, że oba te pierwiastki człowieka: duch i ciało wzajemnie się uzupełniają, że stanowią jedną całość.

Ze wzrostem bogactw narodów, z rozwojem cywilizacji, myśl ludzka wyzwala się z wolna z pęt barbarzyństwa, dążąc do światła i poznania istoty życia. Fałszywy wstyd, pruderia i hipokryzja ugiąć się musiały przed prawdą, pięknem i śmiałością myśli. Wiemy, jak nazwalibyśmy dzisiaj tego, który by rzucał gromy potępienia i patrzył zgorszonym okiem na zawodników, ubranych w kostiumy sportowe, występujących do walki o pałkę pierwszeństwa.

Dziś znaczenie sportu zrozumiane zostało omal że przez wszystkich. Rozumieją je poszczególne grupy społeczne, rozumie je państwo.

Sport bowiem jest cudownym stróżem zdrowia, manometrem potencji fizycznej.

U dzieci sprawy te reguluje instynkt, który podtrzymuje ich ciało w ustawicznym ruchu; u dorosłego człowieka zaś — świadomie podjęty i zorganizowany wysiłek. Ruch naszego ciała wpływa zbawiennie na normal-

ny obieg krwi, przemianę materii i układ nerwowy.

Ale sporty mają także swoją stronę psychiczną. Rozwijają w nas energię, wolę, wytrwałość, uczciwość w walce, radość i poczucie etyki.

Państwa dwudziestego wieku zdają sobie sprawę z doniosłości celowo zorganizowanych ćwiczeń gimnastycznych i sportu, wprowadzają je, jako przedmiot obowiązkowy, do swych programów szkolnych. Idea sportu coraz bardziej rozprzestrzenia się w Polsce i na całym świecie. Powstają przy poparciu władz lub samorzutnie zrzeszenia o charakterze sportowym, które zataczają coraz szersze kręgi, zagarniając w swoje szeregi licznych amatorów. Czasy zmieniły się radykalnie i z tym moda przybrała inne kryteria piękna i doskonałości. W okresie romantyzmu uchodził za ideał doskonałości cher'awy, bladawy młodzieniec, suchotnik — recytujący przy dźwiękach lutni w smutną nos jesienią bezbrzeżnie melancholijne wierszydła na cześć swej bogdanki. Dziś życie biegnie zgoła innym torem.

Wpływ sportów na naszą psychikę jest olbrzymi. Sportowiec, chcący dorównać swemu współzawodnikowi w osiągnięciu identycznych wyników, musi wykrzesać z siebie pewną sumę energii i wytrzymałości, musi systematycznie trenować, żeby nie pozostać daleko poza innymi. Dochodzi do tego jeszcze moment walki, ale uczciwej, uregulowanej przepisami gry. Takie prowadzenie walki na platformie obopólnej uczciwości, a stale się powtarzające, przejdzie w podświadomość sportowca i wpłynie na jego zachowanie się wśród otoczenia. Osiągnięte zaś zwycięstwo czy to nad sobą samym w czasie treningu, czy to nad swoim współzawodnikiem, rodzi poczucie mocy i radości. Obcowanie ze współzawodnikami na łonie natury, odniesione zwycięstwo, zdobyte pewnym nakładem energii, woli i wytrzymałości, podnosi nas wewnątrz i umacnia. Radość jest stałą towarzyszką sportowców, a jej znaczenie, jako czynnika pedagogicznego, jest kolosalne. O niej tak pi-

sze pewien znakomity uczony: „Radość pobudza nas do czynu, rodzi odwagę i wytrwałość, brak zaś radości czyni człowieka łepym i zwierzęcem, a niezdolność do radości jest wyrazem godnego pożałowania stanu duchowo-moralnej niewrażliwości”. Nietsche, filozof niemiecki, takie postawił twierdzenie: Nie radość, ale brak radości jest matką rozpusty i wyuzdania.

Jak wszystko, tak i sport nie jest wolny od zarzutów. Rzucają niektórzy gromy potępienia w takim stylu, że sport szerzy u swoich adeptów brutalność, chorobliwą indywidualizację, egoizm.

Oba te zarzuty są mylne!

Brutalność? — nie! Zarzut to bezpodstawny, bo przecież żadna dziedzina rywalizacji nie jest tak uregulowana przepisami, istniejącymi zwyczajami, jak sport.

Drugie oskarżenie też nie wytrzymuje krytyki. Większość gier sportowych wymaga skoordynowanego wysiłku, — a to chyba rodzi poczucie solidarności ofiarności; jeżeli zaś istnieją gry, w których walka odbywa się indywidualnie, to jednak każdy z grających występuje w barwach jakiegoś klubu, grupy społecznej, państwa czy narodu.

Propagujmy więc sport jako środek do większych osiągnięć.

SPORT W OGNISKU Y.M.C.A. MA DUŻE ZASTOSOWANIE !

PRZEZ HART FIZYCZNY DO HARTU DUCHA !

SPORT W ŚWIETLICY

PING-PONG

Jednym z najmłodszych sportów uprawianych w Polsce jest ping-pong (zwany także tenisem stołowym). Sport ten znany był w Azji już przed kilkuset laty i stamtąd został do Europy przeszczepiony przez Anglików w końcu dziewiętnastego wieku. Dzięki swoim specyficznym zaletom zdobył sobie odrazu dużą popularność. Zwłaszcza przyjął się na Węgrzech, skąd też pochodzili pierwsi mistrzowie celuloidowej piłeczki: Barna, Saabados i Kalen oraz mistrzyni: Madyańska i Sipos.

Jak już wspominałem, ping-pong ma specyficzne zalety, które go wyróżniają wśród wszystkich innych sportów. Wielu ludzi odmawia mu wogóle miana sportu, wychodząc z założenia, że należy on raczej do gier czy rozgrywek towarzyskich w rodzaju bilardu i t. p. Tak jednak nie jest. Ping-pong ma swoje czyste sportowe zalety. Wyrabia błyskawiczną szybkość orientacji, wytrwałość i opanowanie nerwowe oraz wytrzymałość fizyczną. Co do dwóch pierwszych zalet dyskusja jest zbędna. Ten, kto choć raz widział dobry mecz ping-pongowy, wie z jaką szybkością krąży biała piłeczka celuloidowa, jakiej precyzji uderzenia potrzeba, żeby ją opanować i jakich żelaznych nerwów, aby z setek

błyskawicznie zmieniających się sytuacji dobrze wybrać moment dla decydującego ataku. W meczach tych, trwających czasami po parę godzin, wyrabia się niewątpliwie wytrzymałość fizyczną. Nieco innego rodzaju niż ta, którą wyrabiają boks, pływanie, czy lekka atletyka, ale niemniej ważna, bo ściśle zespółona z wytrzymałością systemu nerwowego.

Ping-pong jest bodaj czy nie jedynym sportem, który z powodzeniem mogą uprawiać, nawet zawodniczo, ludzie fizycznie niezbyt szczerze obdarzeni przez naturę. Silna budowa nie jest tu żadnym handicapem. Nie stawia on tak wielkich wymagań sercu, płucom czy mięśniom jak inne sporty. A oprócz tych zalet, jak już je nazwałem sportowych, ma ping-pong duże zalety, nazwijmy je towarzyskie, które powinny skłonić do zainteresowania się nim kierowników świetlic i t. p. Jednym z czołowych zagadnień życia świetlicowego jest podniesienie atrakcyjności świetlicy i zwiększenie współżycia na gruncie towarzyskim między poszczególnymi członkami. W obu wypadkach ping-pong jest niezastąpiony. Jest on przy tym tani, że każda świetlica może sobie na niego pozwolić. Będzie on stałe źródłem atrakcji w postaci zorganizowania najrozma-

itszych turniejów w grze pojedynczej, podwójnej lub mieszanej, w czasie których współzycie między uczestnikami będzie postępować bardzo szybko. Do takiej towarzyskiej zabawy nie jest potrzebny stół o wymiarach ściśle przepisowych, a zupełnie wystarczy o zbliżonych. Przepisowy stół ping-pongowy ma wymiary b'atu 275 x 152 cm., wysokość około 80 cm., grubość ok. 4 cm. Siatka o wysokości 17 cm. powinna wystawać za stół na 5 cm. Błat stołu ma być czarny (względnie ciemny) obrzeżony białą linią o grubości 2 cm. Jeśli stół ma służyć także do gry podwójnej — przez środek (równoległe do dłuższego boku) powinna przechodzić również biała linia. Przepisy gry ogólnie znane, względnie jest łatwo się o nie wystarać.

Stale aktualne jest zagadnienie, czy ping-pong, uprawiany przez zimę, szkodzi tenisistom, czy przeciwnie — jest dobrą dla niego zaprawą. Zdania w tej

kwestii są podzielone. Naogół wpływ treningu ping-pongowego na tenis jest niewielki, a w poszczególnych wypadkach zagadnienie należy traktować indywidualnie. Tenisowy mistrz świata Fred Parry, był jednocześnie świetnym ping-pongiście. Jego backhand (tenisowy), który miał doskonały i którym zdobywał wiele punktów, przypominał raczej uderzenie ping-pongowe.

W Polsce początki ping-ponga datują się od roku 1923. Zaczęła go wtedy uprawiać młodzież szkolna. W r. 1930 powstał Polski Związek Tenisa Stołowego. W ostatnich latach coraz częściej stał się kontakt ping-pongiści z zagranicą i coraz cenniejsze sukcesy odnosili nasi zawodnicy. Polska zalicza się do potęg ping-pongowych. Najlepszy gracz ping-pongowy Polski Ehrlich przebywał we Francji i często grał w świetlicach Polskiej Y.M.C.A. T. ST.

• HUMOR •

PO OPERACJI.

(Fraszka z tornis'ra z pisma żołnierskiego «Nowiny»).

Zganiła mnie Margaret,
Że martwię się bez racji
Z „uwalnających” Polskę
Zwycięskich operacji.

Rzekłem: „Z tą operacją
Rzecz nie jest znów tak prosta:
Wycięto wprawdzie ręką,
Ale nóż w brzuchu został”.
Piechur.

W. Nasiłowski.

LIST STRZELCA STACJI ZBORNEJ W. P. DO SWOJEJ UKOCHANEJ

Kochana Panno Jadziu!

W pierwszych słowach mojego listu przesyłam pannie żołnierskie pozdrowienie Czołem i tudzież całusa gorącego.

A zaraz potem jest tego rodzaju «chwestia». Przez niejakiego Ludwiszczaka Antka, który teraz do wojska się zapisał, kategorię B na komisji lekarskiej dostał i waśniaka w mundurze odstawia jak jaki kapral albo Bóg wie co — doszło do mojej wiadomości iż w ostatnie niedziele do sinema panna Jadzia poszła na film z Gary Kuperem «Szczęście w kołysce». Jako panna z dobrej rodziny, która swoje prawa zna możesz mi powiedzieć: — «a cho'era panu Wacusiowi do tego. Każdy za swoje piętnaście franków do kina może iść i przez dwie godziny dobru rozrywkę oczy nacieszyć».

Zgadzam się z panną w szczególe i wogóle. Nie mój to interes. I nie o to mnie serce boli — także samo nie o to, że film był niemoralnie do życia podchodzący. Panna — podobnie — dziecko miała, jeden frajer uciekł, drugi się znalazł ale jak szczeniaka zobaczył też zwał na zbity pysk — i miał rację mnie teżby cholera wzięła jakbym tak moją narzeczoną z dzieckiem małoletnim na ręku zobaczył.

A serce mnie boli i krew serdeczna mnie zalewa z

powodu tego męskiego towarzystwa w jakim się panna znajdowałaś.

I to z kim? Z Mankiem Klepischczakiem! Żeby to jeszcze chłopak był do rzeczy to bym powiedział: wszystkie baby są dranie i nie tylko za spodniami latają, a że chłop jest niczego — no to i nie dziwota.

A żeby mnie z byle jaką łachudrą zdradzać.

Mały, pokraka, brzydki jak śmierć, w młodości wczesnej podobnie ze stołu spadł na ciemność, potem na ospę czy inną cholere chorował i mordę ma poszatkowaną w kratki, nos ma beduiński, uszy jak osioł z południowej Francji. Do wojska iść nie może bo kategoria Z by dostał...

I z takim oferma, łajzą, dziadem sakramenckim idziesz mnie panna zdradzać?

Tego to już za dużo. W niedziele przyjadę na przepustkę. Szabli coprawda nie noszę — bo w nowoczesnej armii nikt szabli nie nosi — podobno tylko król angielski jak koguś dekoruje orderem z podwiązkiem to ma szablę i klepie nią po ramieniu dekorowanego. Honor to podobno nie mały, — jak mi opowiadał jeden kapral co przyjechał z Anglii. Tylko jednej rzeczy nie mogę zrozumieć dlaczego przy tym orderze jest podwiązka — i czy koniecznie muszą być różne detale z garderoby naprzykład order z tasiemką z sutiengorzą albo z ramiączkiem od koszuli nocnej?

Więc jak już powiedziałem chociaż szabli nie noszę to mordę Klepiszczakowi skuję na amen, przenicuję go na tęwą stronę. Lebiega jeden w te i nazad przez most Kierbiedzia... Szydełkiem w dziąsło szarpamy — Rodzona matka go nie pozna. I za dwa tygodnie będzie na izbie chorych leżał z bańkami i w gipsie...

To on taki! A ja jego amerykańskimi papierosami częstowałem i na jednego kanona do kafejki zaprosiłem a on teraz z moją dziewczyną do kina na suare, na «Szczęście w kołysce»!... Marny twój piegaty los! Pieska twoja niebieska. A co do panny Jadzi to inna jest sprawa. Pogadamy jeszcze poważniej. To już Panna Jadzie zapomniała jak razem te befstykiśmy wtraja'i — albo te pierożki z serem? Już zapomniała panna te lody śmietankowe i te apriko? I te kino i ten park? Słusznie mówił pisarz jeden że baba jest jak pierze — dmuchnąć i polecie...

Za pysk trzeba pięć słabą mocno trzymać — to wtedy wszystko będzie dobrze — jak powiedział jeden filozof żydowski, którego Hipekkradł się podobno nazywał. No, kończę ten list bo zaraz będzie modlitwa i capstrzyk. I służbowy już się wydziiera na zbiórke. Aczkolwiek zagniewany jestem całuję ślipka pannie Jadzi tudzież usta i wogóle wszystko.

Wacek.

IGN. KRASICKI (1735-1801)

(Arcybiskup gnieźnieński).

Pijaństwo

— Skąd idziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — I jak jeszcze! Wszak wiesz, że ja się nigdy zbytecznie nie pieszczę:
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.
— Pewnieś wczoraj był wesół? — Dlategoż dziś smutny.
— Przejdzie ból. Powiedz-że mi proszę, jak to było?
Po smacznym, mówią, kasku i wodę pić miło.
— Oj, niemiło, mój bracie! bodaj z tym przysłowiem
Przepadł, co go wymyślił! Jak było, opowiem.
Upiłem się onegdaj dla imienia żony;
Nie żał mi tego było: dzień ten obchodzony
Musiał być uroczysty; dobrego sąsiada
Nieżle czasem podpoić; jejmość była rada,
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było
Cieszyliśmy się pięknie i nieżle się piło:
Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,
Cięży głowa, jak ołów, kształszę się i nudzę.
Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdłący;
Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący;
Hanyżek mnie zalecił: trochę nie zawadzi;
Napilem się więc trochę, aczej to poradzi.
Nudno przecie; ja znowu, już mi rażniej było.
Wtem dwóch z uczty wczorajszej kompanów przybyło.
Jakże nie poczęstować, gdy kto w domu przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi!
Więc ja znowu do wódki: wypilem niechcący
Omne trinum perfectum: boć trunek gorący
Dobry jest na żółdek. Jakoż w punkcie zdrowy:
Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
Zdrów i wesół wychodzę z moimi kompanami,
Wtem obiad zastaliśmy już przygotowany.
Siadamy. Chwali trzeźność pan Jędrzej, my za nim:
Bodajto wstrzemięźliwość! Pijatykę ganim,

A tymczasem butelka nietykana stoi.

Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,

Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi:

„Kielszek jeden, drugi zdrowiu nie zawadzi,

„A zwłaszcza, kiedy wino wytrawione, czyste!”

Przystaję na takowe prawdy oczywiste.

Idę zatem dyskursą tonem statystycznym

O miłości ojczyzny, o dobru publicznym,

O wspaniałych projekciach, mężnym animuszu,

Kopiem góry dla srebra i złota w Olkusz,

Odbieramy Inflanty i państwa młutiańskie

Liczymy owe sumy neapolitańskie,

Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzimy

Tych biję wstępny bojem, z tamtymi się godzimy;

A butelka nieznacznie jakoś się wysusza.

Przyszła druga, a gdy nas żarliwość porusza,

Pełni uciech, że wszyscy przeciwnicy legli,

Trzeciej i czwartej aniśmy postrzegli,

Poszła szósta i siódma, za nimi dziesiąta.

Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprzęta,

Pan Jędrzej, przypomniawszy żórawińskie kłeski,

Nuż w płacz nad królem Janem... — Król Jan był zwycięski —

Krzyczy Wojciech. — Nieprawda! — A pan Jędrzej płacze.

Ja gdy ich chcę pogodzić i rzeczy tłumaczyć,

Pan Wojciech mi przemówił. — Słyszysz Waś — mi rzecz

— Jakto: waś! nauczę cię rozumu człowiecze.

On do mnie, ja do niego; rwiemy się zjadli;

Trzymaj Jędrzej; na wrzaski służący przypadli:

Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszą wielką,

Ale to wiem i czuję, że wziął w tę butelkę.

Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!

Cóż w nim? tylko niezdrowie, zwady, grubiaństwo,

Oto profit: nudności i guzy i plastry

— Dobrze mówisz, bodaj to zabawa hałastu;

Brzydzi się nim człek pracy, jako rzeczą sprośną:

Z niego zwady, obmowy nieprzyzwoite rosną;

Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,

Zdrowie się nadwyreża i ukraca życie.

Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku:

Człowiekiem jest z pozorów, lecz w zwierzał gatunku

Godzien się mieścić; kiedy rozsądek zaleje

I w kontrnaturze postać bydlęcą przywdziewa.

Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało

Na to, aby użyciem swoim orzeźwiło,

Użycie darów Bożych powinno być w mierze.

Zawszyda pijanicę nierozumne zwierze,

Potępią bydłeta niewstrzymałość naszą:

Trunkiem według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,

Nie biorą nad potrzebę. Człek, co nimi gardzi

Gorszy od nich, gdy działa, podlejszy tym bardziej!

Mniejsza o guzy i plastry: to zapłata zbrodni;

Większej kary, obelgi takowi są godni,

Co, w dzikim zaślepieniu występni i zdraźni,

Rozum, który człowieka od bydłęcia różni,

Śmiaż za ładą przyczyną przypieścić lub tracić.

Jakż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?

Jaka korzyść tak wielką utratę nadgrodzi?

Zła to radość, mój bracie, po której żal chodzi!

Ci, co się na takowe nie udają zbytki,

Patrz, jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki:

Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesółą i wolną,

Moc i rażność niezwykła i do pracy zdolna,

Majątność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,

Dostatek na wydatki potrzebne rozsądne.

To są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki

Te są.... — Bądź zdrow!

— Gdzie idziesz?

— Napiję się wódki!....

Ofiara obowiązku

Wiele się pisze ostatnio o wzroście analfabetyzmu w kraju. Powstają towarzystwa do jego zwalczania, wzywają ogół obywateli do pracy nad oświecaniem nieszczęsnych analfabetów.

Ale gdy ktoś naprawdę przejmie się tymi hasłami, gdy z zaparciem się siebie zacznie pracować na niwie zwalczania tej hańby 20-go w., spotykają go za to szykany.

To nie do wiary, prawda? A jednak tak jest. Za smutny dowód niech posłuży sprawa pana Feliksa Gibalskiego, tocząca się w tych dniach przed sądem grodzkim.

Pan Gibalski na zapytanie sędziego czy przyznaje się do winy, rozłożył tylko ręce i rzekł:

— Słoro, jeżeli o wiele praca naukowa jest karalna, to faktycznie, rzeczywiście się przyznaje.

Dalszy ciąg wzruszającej opowieści pana Feliksa o tym, jak można się dostać pod sąd za spełnianie kulturalnej misji, wyglądał następująco:

— Czytałem w gazetach, że każdego obywatela ma jednego analfabeta, czyli takiego złoba, którego ani czytać, ani pisać nie umie, wykształcić.

Wstyd mi się przyznać, ale mam takiego znajomego, a nawet noniekad sąsiada, bo w jednym domu na Fabryczny ulicy mieszkamy.

Na oko nikłoby nie powiedział. Facet owszem przyzwyczajony ubrany. A jakże, w dęciaku, szelki nosi także samo, a wykształcenia nie posiada. Nie to, żeby liter nie znał, nawet ciut-ciut szkoły chapał, ale jak zażalenie czytać, furt co inszego mu wychodzi, aniżeli jest napisane. To tyż myślę sobie, dosyć tego. Trzeba te hańby z Fabryczny ulicy zmyć i krajowi się zaśluzić.

Zaprosiłem go ma się rozumieć na róg do piwiarni, bo do szkoły za żadne pieniądze by nie poszedł. Kazałem dać butelki i mówię:

— Czytaj, sąsiad! No i co najwyższy sąd na to powie, przeczytał wcale nieźle:

«Polski Monopol Spirytusowy. Wódka czysta 45 stopni».

Całe kartki bez zająknięcia. Uszom swoim nie wierzyłem, więc kazałem dać jeszcze jedne butelki, a pan Szczurek jeszcze lepiej czyta. Bo on się Szczurek nazywa, proszę sądu wysokiego.

Wówczas ja zaznaczam: nie bracie, dla mnie mądry nie będziesz. Mnie na lipe nie weźmiesz, przecież ty cały naolis jak pacierz na pamięć znasz, przez tyle lat alkoholom się zatrudniając.

Teraz dam ci szkołę. I krzyknąłem na kurna, żeby podał kartę.

— Niechże pan mówi o zajęciu — przerwał oskarżonemu sędzia.

— Chwileczkie, zaraz będzie zajęcie. No i zdechł pies. «Faki z pulpetamy» jakoś pan Szczurek prześląbizował, ale jak przyszło do rzemskiej pieczeni, to on czyta — «prosiak po rusku z kaszą».

— Ach ty ciemna maso — odzywam się do niego — ty prosty człowieku z prowincji w worku przywieziony, gdzie tu masz prosiaka z kaszą?

I tak się z niem męczyłem do 3 rano. Od czasu do czasu ma się rozumieć butelki wódki stawiać kazałem, żeby mnie się uczeń nie zniechęcił.

— Panie, sprawa jest o pobicie żony, a nie o lekcje czytania.

— Już, już, zaraz będzie żona.

Dośliśmy właśnie do: na deser kawa, herbata i lody. kiedy drzwi się otwierają, włata moja małżonka i od

razu, z pyskiem do mnie, że mnie po całej Warszawie szuka, a ja w knajpie chlām. Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Kto chłā — powiadam — to ja się dla kraju męczę, z ojczyzny ciemne plame zmywam, alfabetę czytać uczę i jeszcze mam przykrość?! No i ma się rozumieć przewróciłem stolik i pana Szczurka, a także samo żonę, coś nie coś uszkodziłem. To już wszystko.

Ponieważ uszkodzenie było dość poważne, sąd skazał pioniera kultury na tydzień aresztu.

Pan Gibalski wysłuchawszy wyroku zdumiał się niepomniernie i rzekł z bólem:

— Niech ja skonam, niech ja skonam, jeżeli o wiele palcem dla oświaty ruszę. Niech pan Szczurek mówi na rzemską pieczeń — «prosię z kaszą», niech nawet mówi «szczupak po żydowsku»! Cholera mnie do tego.

(Z felietonów Wiecha)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pocztą przyniosła nam prawie równocześnie trzy nowe polskie pisma katolickie. Są to «Rycerzyk» — organ Związku Sowiarszenia Rycerstwa Polskiego, pismo dla młodzieży, bardzo dobrze redagowane; «Głos Polskiej Misji Katolickiej», pismo dla Polaków w Belgii i «Polska Wierna» wydawana w Paryżu. Bardzo dobry poziom reprezentuje ta ostatnia. Pisma te wypełniają dotkliwie odczuwaną dotychczas lukę — jeśli chodzi o polską myśl katolicką w okresie przełomowych zmian, jakich jesteśmy świadkami. Życząc im «Szczęść Boże» w owocnej pracy, podajemy ich adresy:

«Rycerzyk» — Ks. J. Obarski, 10, rue Victor-Hugo, Barlin (P. de C.). Cheques Postaux c.e 120788 Lille.

«Głos Polskiej Misji Katolickiej» — Mr. Józef Piotrowski, 18, rue de Pascale, Bruxelles, Belgique.

«Polska Wierna» — 263, rue St. Honore, Paris 1^{er}.

odpowiedzi redakcji

Ks. P. Pilarski, Bazilles. — Serdecznie Księdzu dziękujemy za miły list i cieszymy się, że «Razem» Księdzu się podoba i przydaje w pracy; będziemy je stale wysyłać. Pomyślimy też i o innych materiałach kulturalno-oświatowych.

Kol. W. Nasiłowski, Lyon. — Otrzymałmy. Chowamy do teczki. Cześć.

P. J. Potiszil, Clermont-Ferrand. — Otrzymałmy. Myśl ładna, ale trochę słabo wyrażona, wobec czego wiersze nie pójdą. Prosimy coś prozą, jak w numerze z Bożego Narodzenia.

P. J. Lesieja, Baladon. — Cieszymy się, że «Razem» podoba się tamtejszej młodzieży. Wysyłamy komplet. Pismo jest bezpłatne.

P. M. Broniewski, Nice. — Będziemy stale wysyłać. Czasopismo jest bezpłatne.

PP. T. Szafran (Oran), W. Pajor (Paryż), W. Poziemska (Faye de St. Eanne). — To samo co wyżej.

Ks. L. Makulec, Caen. — Będziemy stale wysyłać pod podane adresy.

Ks. J. Zdebel, Coneron. — Za miłe słowa dziękujemy. Wysyłamy stale.

Konsulat Gen. R. P., Alger. — Otrzymałmy potwierdzenie odbioru. Będziemy stale wysyłać.